W NUMERZE: W jaki sposób pokonaliśmy atak zimy — reportaże piszą Soldenhoff, Binkowski, Darzycki ■ Przemysł łódzki w pierwszych dniach po wyzwoleniu ■ Jubileusz Krystyny Henczowej ■ „Ptaki nieprzelotne" Wojciecha Roszewskiego ■ Fragment nowej powieści Jerzego Surdykowskiego ■ Chińczycy na obczyźnie ■ Zbigniew Nowak o hodowli lisów ■ Recenzje, felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź 2002

NR 3(1102) ROK XXII 21 STYCZNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

JAN HUSZCZA

ŁÓDŹ

Tamtego roku mroźny styczeń
obrastał czołgi szczeciną szronu
i była radość na obliczach,
gdy szły na zachód rozpędzone.

Łódź się budziła,
znikł morderca.
Dzień jakby huczał wielkim
dzwonem,
a ludzie biegli z biciem serca
obliczać to, co ocalono...

Ten, który czuwał, wierzył w życie,
gdy handlowali inni złotem,
zwoływał swoich
i z ukrycia
wywlekał walec albo motor...

A gwizd syreny był jak hasło:
przypominało się warsztatom...
Dymy z kominów szły nad miasto,
były piękniejsze niźli kwiaty.

Rankiem idących ilość rosła,
I był chleb pierwszy i tkaniny...
Niejeden stawał przy trzech
krosnach.
współzawodnictwa
czas
zaczynał.

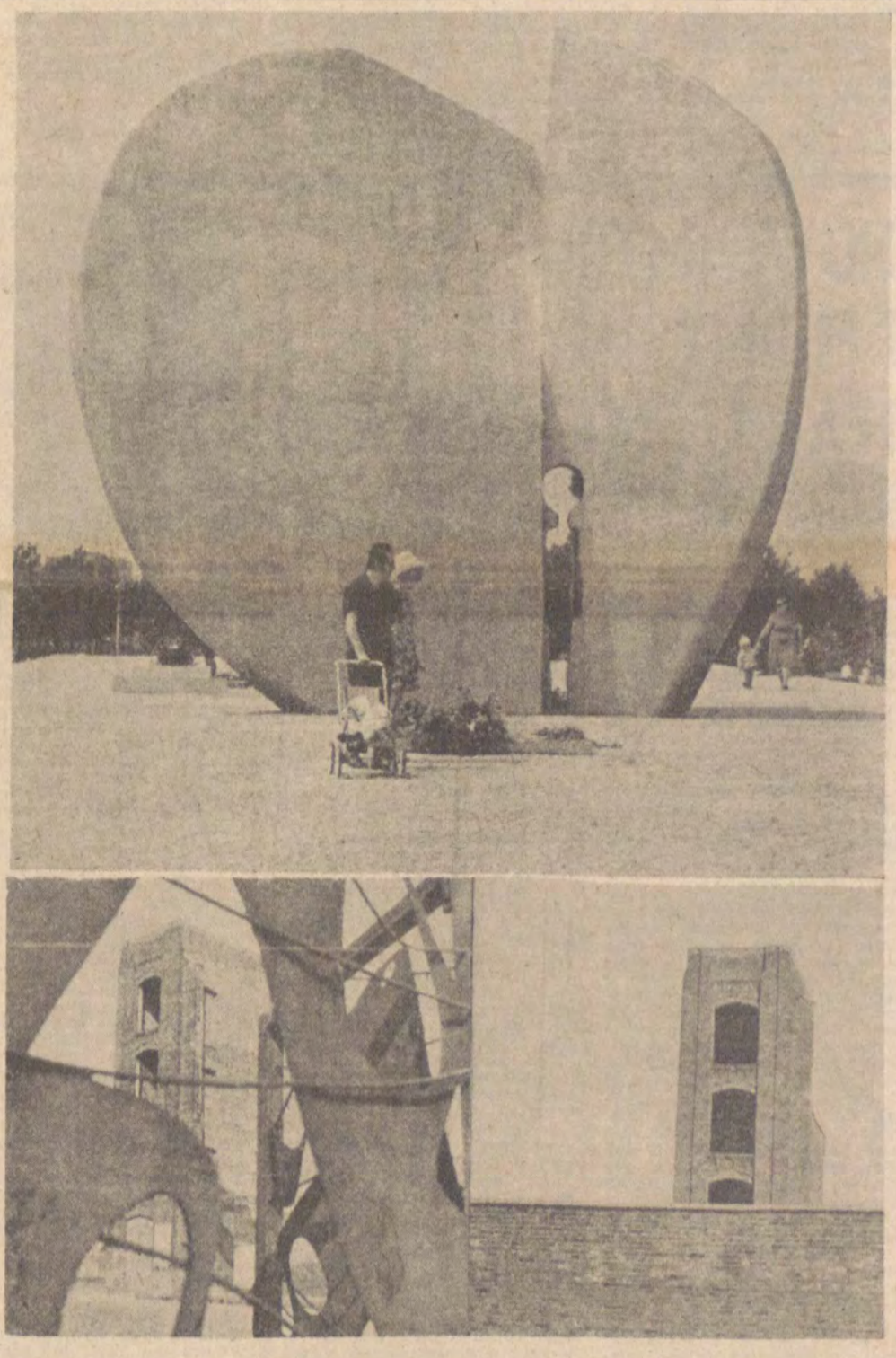

Foto: J. Madeyski, Z. Walter

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ŻOŁNIERZ POLSKI WYSTĄPIŁ ZBROJNIE

I. Dobiegała końca pierwsza wojna światowa. Rozpadały się mocarstwa. Ze wschodu szła na Europę fala rewolucji. Ludzie mieli dość wojny. Ludy uciskane dość niewoli.

W tym czasie ziemie polskie znajdowały się w rękach niemiecko-austriackich wojsk. Ale z Austrii — jak pisała wówczas prasa wiedeńska — narody wyprowadzały się nawet bez wypowiedzenia. Wprawdzie cesarz Karol I usiłował ratować rozpadającą się monarchię, proklamując federację, ale nic już Austro-Węgier nie było w stanie uratować. Po niepodległość sięgnęły narody uciskane.

28 października 1918 roku powstała w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna, a 31 października generałowie austriaccy podpisali kapitulację garnizonu.

5 listopada 1918 roku powstała w Lublinie — z inicjatywy SDKPiL i PPS-Lewicy — Rada Delegatów Robotniczych, a w nocy z 6 na 7 listopada Tymczasowy Rząd Ludowy.

9 listopada 1918 roku abdykował cesarz Wilhelm II. W Warszawie Rada Regencyjna przekazała władzę Józefowi Piłsudskiemu. Rodziło się nowe, niepodległe państwo polskie. Początkowo obejmowało ono niewielki obszar — od Bugu do byłej granicy z zaborem pruskim. Śląsk, Pomorze, Poznańskie, Prusy Wschodnie, Suwalszczyzna, Białystok pozostawały poza zasięgiem władz polskich. Tereny te znajdowały się w niemieckich rękach.

11 listopada 1918 roku na stacji kolejowej Rethonde koło Compiegne w północnej Francji podpisano rozejm. Warunki, jakie podyktował pokonanym Niemcom głównodowodzący wojskami Ententy — marszałek Ferdynand Foch zobowiązały ich do opuszczenia okupowanych terenów: Belgii, Francji, Austrii, Rumunii i Turcji. Artykuł 12 rozejmu zastrzegał, że na wschodzie — na terenach Polski i Rosji Niemcy ustąpią wtedy, kiedy Ententa uzna to za stosowne. Warunki rozejmu traktowały zabór pruski jako integralną część państwa niemieckiego i nie było żadnej mowy o wycofaniu z tych terenów wojsk niemieckich.

Dalszy ciąg na str. 3

PTAKI NIEPRZELOTNE

Po dziś dzień z trudem przychodzi mi uwierzyć, że byłem w Warszawie latem 1945 roku. Wszystko, co wówczas w niej zobaczyłem, można przecież zrzucić na karb złego, dziecięcego, niezrozumiałego od początku do końca snu. Kluczyłem z matką po ruinach zdruzgotanej Woli i, jak pamiętam, na szóstym piętrze wypalonej do stalowych kości kamienicy, odnaleźliśmy cudem ocalałe mieszkanie, a w nim jej przyjaciółkę, kobietę jeszcze wówczas młodą, ale sprawiającą wrażenie zupełnie oniemiałej. — Zobacz Jadziu — powiedziała po długiej chwili milczenia, podchodząc do zabitego w części brudną dyktą okna. — Co oni zrobili z naszą Warszawą!

Widok z tego okna ukazywał zrównany z ziemią Muranów z bryłą zachowanego kościoła św. Augustyna przy Nowolipkach. Nie wstrząsnął mną wówczas, gdyż nie mając żadnej skali porównawczej, sądziłem po prostu, że tak musi być. Po latach powtórzyła mi go słynna fotografia wykonana w tymże 1945 roku przez Leonarda Semplińskiego. Wówczas już wiedziałem jednak, że w tym miejscu było getto, że Warszawa nie przeistoczyła się w gruzy li tylko z impetu wojny, lecz także z odwetu tych, którzy chcieli ją ukarać i zetrzeć z powierzchni ziemi za jej powstania, bunty, trwające w wypadku jej lewobrzeżnej części tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć dni nieprzejednanie. Nie mogłem wówczas zrozumieć fenomenu Warszawy. Inna sprawa, że niełatwo zrozumieć go również dziś. Ciągle w unicestwieniu i odrodzeniu tego miasta zawiera się jakaś zagadka, ciągle nie potrafimy jej rozwikłać w sposób czysto racjonalny.

Jan Górski, kronikarz warszawskiej odbudowy, zwrócił uwagę na mało znany artykuł orintologa M. Luniaka opublikowany w 1973 roku w „Przekroju". Luniak krążył jak inni po powojennych ruinach, wierny jednak swojej profesji śledził gnieżdżące się w nich ptaki. W wypalonym szkielecie budynku „Pasty" przy ulicy Zielnej odkrył gniazdo rzadkiego ptaka — sokoła wędrownego. „Ruiny wypalonego wieżowca — napisał — stworzyły mu namiastkę urwiska skalnego, które ptak ten chętnie obiera na gniazdo". Ta pozornie błaha i mało istotna w obliczu problemów tamtego czasu obserwacja, posiada jednak dużą siłę poetycką. Warszawiacy powracali na gruzy własnego miasta, właśnie trochę jak wędrowne ptaki. Kierował nimi raczej instynkt rodzinnego miejsca, niż racje rozsądku. Powracali do domów, których nie było, zgłaszali się do pracy w przedsiębiorstwach, które nie istniały, uruchamiali instytucje, szpitale, szkoły i uczelnie nie dysponując ani jednym pomieszczeniem. Warszawy lewobrzeżnej po klęsce powstania i ekscesach hitlerowskich oddziałów specjalnych wypełniających rozkaz totalnego unicestwienia miasta, prawie nie było. 17 stycznia 1945 roku, w dniu wyzwolenia, na lewym brzegu, z reguły na przedmieściach południowych i północnych bytowało tylko dwadzieścia dwa tysiące mieszkańców. Już następnego dnia jednak uporano się z grubsza z rozminowaniem takich arterii jak Aleje Jerozolimskie, Aleje Ujazdowskie, Marszałkowska i Czerniakowska. Przystąpiono także do odbudowy elektrowni na Powiślu i pojawiły się pierwsze egzemplarze drukowanej od pewnego czasu na Pradze gazety codziennej — „Życie Warszawy".

Rozsądek nakazywał tym ludziom — ptakom odlecieć jak najśpieszniej od swoich zniszczonych gniazd. Poszukać między Bugiem a Odrą jakichś miejsc bardziej znośnych i ludzkich, nie tak monumentalnych. Część powracających w odpowiedzi na apel Rady Narodowej m. st. Warszawy wystosowany w maju 1945 roku, zdecydowała się Warszawę opuścić i w poszukiwaniu bardziej znośnych warunków życia wyruszyła na Ziemie Odzyskane. Do końca roku 1945 uzbierało się ok. czterdziestu tysięcy dobrowolnych emigrantów, ale ludność samej Warszawy wyniosła w tym czasie czterysta sześćdziesiąt siedem tysięcy. Przyloty były więc dziesięciokrotnie liczniejsze niż odloty.

Tysiące spośród tych ludzi — ptaków, jak przyjaciółka mojej matki, gnieździło się w ruinach. Nazywano ich trochę niezbyt trafnie Robinsonami warszawskimi, nie dlatego, że przyszło im bytować na terytorium bezludnym, lecz dlatego, że musieli uciekać się do wielu przemyślnych pomysłów i konceptów, żeby po prostu w tych warunkach przeżyć. Wraz z nimi, na urwisku wypalonej „Pasty" tkwił w swoim gnieździe sokół wędrowny, oglądający z góry coś, co kiedyś było Warszawą. W końcu jednak chyba zorientował się, że nie osiadł na skalnej grani, ludzie natomiast pozostali i zabrali się do zaleczenia tej najpotworniejszej w dziejach świata rany. Po latach uczeni obliczyli, że największe zniszczenia w Warszawie dokonane zostały między 3 października 1944 roku, a 17 stycznia 1945 roku. W tym czasie hitlerowskie oddziały specjalne wysadziły w powietrze bądź spaliły około trzydzieści procent przedwojennej zabudowy. Był to nie podyktowany żadnymi względami wojskowymi akt zemsty i odwetu. „Że to dzieło zniszczenia jest złem, to jest jasne jak słońce na niebie — napisał wymownie Władysław Tatarkiewicz — jeśli to nie jest złem, to nie ma zła na świecie".

Ten ostatni cios zadany Warszawie przez najeźdźców nie był jednak demonstracją ich siły, lecz fanatycznym przyznaniem się do bezradności. „Z historycznego punktu widzenia — powiedział 21 września 1944 roku o powstaniu warszawskim Heinrich Himmler — czyn Polaków jest błogosławieństwem. Pokonamy ich w ciągu pięciu, sześciu tygodni. Wówczas jednak Warszawa, stolica, centrum, inteligencja tego 16—17-milionowego narodu, który od 700 lat odgradza nas od wschodu i od pierwszej bitwy pod Grunwaldem ustawicznie przeszkadza. Tym samym z historycznego punktu widzenia problem Polski dla naszych dzieci, dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, a nawet już dla nas przestanie być problemem". Powstanie zostało pokonane, nie uległ jednak prosty lud Warszawy Dziś liczy ona z górą półtora miliona mieszkańców, wojenne rany zostały z naddatkiem zabliźnione, niezorientowani w historii cudzoziemcy chodzą po ulicach stolicy i wydaje im się, że Stare Miasto, Zamek Królewski, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat istnieją od niepamiętnych czasów i tylko rdzenni mieszkańcy poprzez te zasłonę dostrzegają Warszawę, jaka była w mroźny i błękitny dzień 17 stycznia 1945 roku. A mnie samemu coraz trudniej jest uwierzyć, że byłem tu latem tegoż roku i przez okno w wypalonym domu na Woli oglądałem sterczący wśród ruin Muranowa kościół św. Augustyna.

WOJCIECH ROSZEWSKI

TADEUSZ PAPIER

TO BYŁO WCZORAJ

Na wschodzie Polski, za Wisłą, wyzwolenie przyszło o kilka miesięcy wcześniej; już w lipcu 1944 roku. Do nas dopiero w styczniu czterdziestego piątego. Ta chwila zastała mnie na skraju przyczółka sandomierskiego. W ostatnich miesiącach 1944 roku i na początku stycznia 1945 pracowałem jako robotnik w cukrowni w Kazimierzy Wielkiej. Przytułek znalazłem w domu nauczyciela w Kazimierzy Małej. Do tej sceny wyzwolenia powracałem wiele razy. Pisałem o niej w reportażach i powieściach. Mówiłem o niej także na spotkaniu z pisarzami i działaczami Smoleńska, kiedy byliśmy tam z wizytą przyjaźni w 1970 roku. W naszej wsi byli jeszcze Niemcy, po drugiej stronie za rzeką żołnierze radzieccy. Nad wsią rozrywały się bez przerwy pociski armatnie. Biły karabiny maszynowe. Znaleźliśmy schronienie w murowanej piwnicy, która mieściła się pod budynkiem szkolnym. Prawie pół wsi tam się schowało. Słychać było coraz gwałtowniejszy ogień karabinów maszynowych. Dochodził stłumiony warkot samolotów. Po tych odgłosach odgadywaliśmy, jak rozwijała się walka.

Nagle usłyszeliśmy niecierpliwe stukanie do drzwi. Nauczyciel otworzył. Zza obłoków zimnego powietrza ukazali się żołnierze z gwiazdami. „Germańców u was nie ma?" — padło pytanie. Drzwi były nadal otwarte, świeże powietrze wypełniało piwnicę. Ogień już przeniósł się za wieś, armaty pokryły swoimi grzmotami las, przeniosły się kilka kilometrów za rzekę. Więc to było wyzwolenie. To była ta godzina, na którą ludzie czekali tyle lat i miesięcy. W jednej sekundzie wszystko się zmieniło. Przyszli żołnierze, otworzyli drzwi do piwnicy i to była ta sekunda, ta chwila.

Wątki tamtych miesięcy powracają w różny sposób na karty książek. W mojej powieści „Dziadek i Róża" próbowałem naszkicować portret Jakuba Salnikowa, oficera radzieckiego, który zginął na ziemi łódzkiej. Jasza zbiegł z niewoli niemieckiej i wstąpił do GL w marcu 1943 roku. Zginął 30 lipca 1944 roku. Ubezpieczał ze swoim oddziałem posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej. Była to pierwsza sesja rady. Odbywała się w gajówce w Ojrzeniu. W tym czasie hitlerowcy napadli na Wygodę oddaloną od Ojrzenia o trzy kilometry. Jasza poprowadził tam swój oddział. Wygoda już się paliła. W potyczce, która się wywiązała, Jasza został trafiony kulą w czoło.

Jaszę uczyniłem jednym z bohaterów powieści. Losy powieściowego Jaszy na pewno różnią się w szczegółach od losów tego Jaszy, który zginął pod Wygodą. Ale i ten w

Dalszy ciąg na str. 8

NOWE MYŚLI I FORMY TEATRU AMATORSKIEGO

Rozmowa z reżyserem Krystyną Hencz

Foto: P. Jaskow

Teatrem interesowała się od dziecka i bardzo pragnęła zostać reżyserem. Te bardzo wcześnie sprecyzowane zainteresowania sprawiły, że Krystyna Hencz stała się niestrudzoną animatorką teatrtu amatorskiego, który pod jej kierownictwem stanął na wyżynach osiągnięć twórczych, nie ustępując teatrowi zawodowemu, ale też nie naśladując jego wzorów i stereotypów.

„Henczowa jest silną indywidualnością o bardzo sprecyzowanych upodobaniach literackich i teatralnych — pisał Stanisław Marat w artykule „Wtajemniczenie w teatr" („Scena" nr 9/72) — **Swoją osobowością prowadzi innych ku żywiołowemu myśleniu, cyzelowanemu kunsztowi przekazu żywego słowa, wysokim rejestrom odczucia i przekazu. Sprawie, że proces wtajemniczenia w teatr zawiera w sobie elementy można by rzec — doznania wyższego. Wyznaje zasadę szczerości w sztuce, która to szczerość prowadzi jednostkę do poszukiwań w obrębie własnej osobowości, do wydobywania tego, co najcenniejsze. Taki proces prowokuje Henczowa u swojego wykonawcy, zarówno recytatora, jak i w prowadzonym od lat Teatrze Stu Krzeseł, działającym obecnie przy Spółdzielczym Domu Kultury „Lokator" w Łodzi, na ul. Nowopolskiej".**

W Teatrze Stu Krzeseł odbyła się niedawno premiera nowego przedstawienia. Krystyna Hencz zaproponowała tym razem trudny utwór Stanisława Ignacego Witkiewicza „Wariat i zakonnica" odnosząc bezsporny sukces artystyczny.

Rozmawiamy z reżyserem o jej artystycznym credo, o obecnym pojmowaniu roli teatru amatorskiego w naszej kulturze, o pracy nad spektaklem i warsztacie aktorów-amatorów, o trudnościach w prowadzeniu amatorskiego teatru.

— Cofnijmy się: Jakie były początki pani pracy?

— Trudne i wspaniałe. Trudne — bo trzeba było znaleźć siebie w teatrze amatorskim. Do teatru amatorskiego nie wolno przychodzić z intencją dorobienia sobie kilku złotych, z myślą o chałturze. Praca w tym teatrze jest swego rodzaju posłannictwem. Marzenie o teatrze nowym, eksperymentującym, najlepiej jest realizować z amatorami. W teatrze zawodowym czasami panuje stereotyp, a teatr amatorski musi poszukiwać rzeczy niesprawdzonych — ryzykować...

Wspaniałe — bo dające kontakt z człowiekiem zazwyczaj niezakłamanym. Już w pierwszych latach sprawdziło mi się założenie o atrakcyjności pracy teatralnej z amatorem i o efektywności tej pracy. Ponadto nie byłam ograniczoną żadnym planem kasowym, repertuarowym, a tylko pełna pasji, chęci wypowiedzenia się o teatrze, o sobie, o człowieku, o tym co się dzieje dookoła nas.

— Czego przede wszystkim starała się pani uczyć młodych entuzjastów teatru?

— Uczciwości i rzetelności nie tylko w teatrze, ale przede wszystkim w życiu. Bezinteresowny stosunek do sztuki jest główną cechą, którą staram się zaszczepić moim wychowankom. Uświadomić, że warto i trzeba zrobić coś bezinteresownie. Sztuce trzeba służyć, a ona odpłaca się nam bogactwem wewnętrznym, którego nie sposób kupić.

— Czy dzisiejsze ćwiczenia aktorskie różnią się czymś zasadniczym od tych sprzed lat?

— Chyba troszeczkę — tak. Rozpoczęłam pracę w oparciu o system Stanisławskiego. Nie powiem teraz, gdy Stanisławski wyszedł trochę z mody, że system jego nie stanowi wartości którymi współczesny reżyser może (a nawet powinien) posługiwać się w pracy teatralnej. Realizm w ówczesnym okresie doprowadził nas jednak do drobiazgowości, rozwlekłości, niepotrzebnego opisu. W tej chwili jest stosowana pewną skrótowość w pracy reżysera. Formalny podział na próby czytane, kontaktowe, sytuacyjne — mnie osobiście trochę znudził. Wszystkie te etapy w pracy nad sztuką realizuję, ale często łączę, zmieniam kolejność, stosuję wtedy, gdy uważam za potrzebne i konieczne. Właściwie mogę powiedzieć dzisiaj tylko jedno, że każdy reżyser powinien wypracować sobie metodę pracy w zależności od zespołu z jakim pracuje.

— Jak odbywa się nabór kandydatów do teatru? Co decyduje o przyjęciu, a co przekreśla szanse zostania jego członkiem?

— Nabór kandydatów do zespołu ogłaszamy w prasie, radiu i telewizji. O przyjęciu decyduje wyłącznie kandydat zgłaszający się do nas, bo przyjmujemy wszystkich bez wyjątku. Życie dokonuje selekcji, a przysłowiowe plewy same odpadają od ziarna. Szansę bycia w naszym teatrze przekreśla — cwaniactwo, na to u nas nie ma miejsca. Ponadto wygodnictwo i odsuwanie się od pracy społecznej, dążenie do łatwego sukcesu, czyli jednym słowem — niezrozumienie sensu idei pracy w teatrze amatorskim.

— Co to jest — zdaniem pani — naprawdę twórcze działanie w teatrze?

— Przez pewien okres czasu pracowałam w Teatrze Ziemi Łódzkiej, asystowałam reżyserom teatralnym, dojeżdżałam na wykłady prof. Korzeniowskiego do Warszawy. Cały czas myślałam jednak o swoim amatorskim zespole, o swoich aktorach i gdy mi pozwolono — powołałam przy Teatrze Ziemi Łódzkiej tzw. zespół pomocniczy. Zebrałam w nim wszystkich dawnych podopiecznych i wystawiłam „Szczęście Frania". I chyba wtedy doszłam do wniosku, że najwięcej zadowolenia daje mi praca z amatorami — gdy wspólnie tworzymy każdą scenę, budujemy razem każdą rolę. I gdy możemy sobie pozwolić na eksperymentowanie poszukiwanie nie skrępowane normami godzin czy finansowych ekwiwalentów. Jest to praca wspaniała. Uczymy się razem jedni od drugich, rozwijamy intelektualnie, dojrzewamy do szukania nowych form scenicznego wyrazu — jest to naprawdę twórcze działanie.

— O wysokim poziomie Teatru Stu Krzeseł decyduje przede wszystkim dyscyplina. Jak ją pani osiąga?

— Głównie wymaganiami stawianymi samej sobie. A za mną idą inni.

— Wszystko, czego pani dokonała w teatrze amatorskim można uznać za nie kończący się dialog z odbiorcą, ciąg dyskusji na temat istoty sztuki. Do czego stara się pani pobudzić odbiorcę swoich przedstawień?

— Do myślenia. Chyba wszystkie nasze realizacje są propozycjami i zadawanymi pytaniami. Chcielibyśmy, aby były ziarnem niepokoju rozsiewanym wśród widzów. Pragniemy aby to, co nas niepokoi, frapuje, zachwyca i urzeka — choć w części udzielało się ludziom, którzy do nas przychodzą. Czasami lubimy trochę bulwersować widzów, jestem zdania, że teatr jest obowiązany do dzielenia, a nie zgodnego jednoczenia widowni. Widzowie we współczesnym teatrze powinni dyskutować, nawet kłócić się, opowiadać za lub przeciw, bo w ten sposób rodzi się przecież to wszystko, co jest w teatrze nowe i co niezależnie od tego jak wyobrażają sobie teatr tradycjonaliści — w końcu zwycięży. A nade wszystko nienawidzę sztampy i skostnienia formy — na to może sobie pozwolić teatr profesjonalny. Jeżeli chce.

— Co przede wszystkim inspiruje panią przy wyborze sztuki do realizacji?

— Konkretne warunki, myślę o możliwościach scenicznych i osobowych w zespole. Oczywiście bardzo często nawet cierpię z tego powodu, że nie mogę realizować tej sztuki, którą chciałabym wystawić. Wiem, np., że w swoim teatrze nie wystawię „Wesela" czy „Dziadów", pomimo głębokich przygotowań się do tych realizacji i prawdziwego marzenia o nich.

— Nie boi się pani ryzyka artystycznego?

— Boję się, ale moją główną samoobroną jest praca. Wiem, że w okresie pracy nad spektaklem nic nie może mi przeszkodzić i nie przeszkadza. Jestem oddana temu co robię bez reszty.

— Czym jest poszukiwanie w teatrze amatorskim?

— Uważam, że zadaniem teatru amatorskiego, tak jak i zawodowego jest pokazywanie spraw, ludzi, świata z różnych stron, uczenie widza samodzielnych sądów. Fascynacja teatrem czy uczestnictwo krytyczne w spektaklu? Oto do czego sprowadza się problem. Fascynacja daje radość a uczestnictwo krytyczne uczy formułować sądy, stawiać pytania i dawać na nie odpowiedzi. Budując spektakl trzeba przyjąć jedno i drugie założenie. Ale obydwa nie oznaczają rezygnacji z poszukiwań twórczych dotyczących tak formy jak i treści i teatr amatorski nie jest od nich wolny — to jest credo moje i mojego zespołu.

— Ruch amatorski predestynowany jest do prezentowania widzom różnych koncepcji teatru. Jakich?

— Takich, jakie pragnie prezentować. Odgórne dyrygowanie może jedynie spłycić całą ideę teatru amatorskiego. Podejmowane w nim inicjatywy muszą pochodzić od twórców tego teatru, a nie od ich zwierzchników, którzy w pocie czoła wymyślają różne koncepcje często bardzo ogólne i nie zawsze realne. Wtedy cała sprawa jest fałszywa. W teatrze amatorskim liczy się autentyzm.

— Od lat dyskutuje się w prasie, radiu i Tv na temat — jakie zadania ma spełniać amatorski ruch teatralny. Czy ma być naśladownictwem teatru dramatycznego, zawodowego, bądź tylko środkiem zmierzającym do wychowania świadomego, kulturalnego widza? Czy ma dostarczać ludzi do teatrów zawodowych?

— Amatorski ruch teatralny nigdy nie powinien być naśladownictwem teatru zawodowego. Oczywiście — powinien wychowywać odbiorców i to jest jedno z jego głównych zadań, ale na tym nie kończy się rola teatru amatorskiego. Myślę, że wszystko co nowe w teatrze rodziło się zawsze wśród twórców bezinteresownych, pasjonatów, ludzi autentycznych, czyli tzw. amatorów. Teatr amatorski jest środkiem zmierzającym do wychowania widza świadomego i kulturalnego, ale jest również nosicielem idei nowej myśli i nowej formy. Teatr ten powinien dostarczać ludzi do teatrów zawodowych. I w tym miejscu — chciałabym wyrazić swoje gorące podziękowania wybitnym pedagogom teatralnym za zainteresowanie najzdolniejszymi wychowankami teatrów amatorskich.

— Pani i jej teatr jesteście laureatami licznych nagród indywidualnych i zespołowych. Którą spośród nich uważa pani za najcenniejszą dla siebie i teatru?

— Dwie nagrody: za reżyserię „Pamiętnika Anny Frank" i za reżyserię „Szkoły błaznów".

— Głośny spektakl „Szkoły błaznów" Ghelderode'a był efektem wieloletnich poszukiwań amatorskiego teatru, efektem pracy nad tekstem i nauki techniki aktorskiej. „Wariat i zakonnica" jest sztuka drwiącą z psychoanalizy, erotycznych kompleksów i kabotyństwa intelektualnego. Co jeszcze chciała pani przekazać tym przedstawieniem?

— Może postać samego Witkacego? Wydaje mi się, że poprzez ogromną pracę przygotowawczą do tego spektaklu — poznałam dobrze tego dziwnego twórcę i zrozumiałam go naprawdę. Jego dążenie do czystej formy — wynikło również z buntu przeciwko banałowi i sztampie w ówczesnym teatrze. Czy mogłabym powiedzieć, że rozumiem tę tzw. „czystą formę"? Na pewno ją czuję. I może trochę rozumiem. Interesuje mnie w niej sprawa konstrukcji. „Czysta forma" to wg Witkacego pewna konstrukcja dowolnych elementów, barw, dźwięków, słów lub działań nie mających nic wspólnego z życiowym prawdopodobieństwem. Taki teatr może nas wprowadzić w zupełnie inny niż życiowy wymiar przeżywania. To wszystko, co dzieje się w tym teatrze dzieje się również w życiu, ale przewrotna forma, w której ukazuje to Witkacy sprawia, że widz odczuwa pełnię teatralnego, dziwnego świata.

— Jakie trudności ma reżyser i kierownik teatru amatorskiego?

— Ma tylko trudności. Po pierwsze: musi walczyć o poczucie rzeczywistości u członków zespołu, wychować w nich ludzi skromnych i bezinteresownych wobec sztuki. Musi przekonać środowisko o sensowności i potrzebie działania zespołu, który pragnie osiągnąć wyższy poziom od występów u cioci na imieninach. Następnie musi realizować spektakle przeważnie w bardzo trudnych warunkach. Domy Kultury w większości nie są przystosowane do działalności czysto teatralnej, a teatr choćby amatorski jest jednak teatrem i musi mieć przynajmniej dwa reflektory i komórkę do ubierania i charakteryzacji aktorów. Może na ten temat zakończę już wypowiedź, bo musiałabym gorzko zapłakać...

— Napisała pani artykuł dla miesięcznika „Scena" — pt. „Teatr mój widzę potrzebny", a w nim m. in. takie zdanie: „Nowoczesność to szansa. A Teatr Amatorski to ranga! Jaki? Dobry?" Tak wypowiadała się pani 5 lat temu. A dziś?

— A dziś — zawsze mogę to powtórzyć, ale... jestem już jednak zmęczona. Ciągła wędrówka i rozpoczynanie na nowo tego, co się rozpoczęło 30 lat temu (dokładnie 1 stycznia 1949 roku) jest jednak męczące. Że też nie było w Łodzi dla mnie miejsca, które mogłabym wraz ze swoim teatrem przysłowiowo „zagrzać". A przecież wszyscy zawsze mówili, że są z nas zadowoleni, ba! — dumni. Pocieszam się, że nowy patron RSW „Lokator" weźmie pod uwagę moje maleńkie już zniecierpliwienie.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

JUBILEUSZ HORACEGO SAFRINA

Z okazji 80 rocznicy urodzin wybitnego poety i satyryka **Horacego Safrina**, w dniu 11 stycznia odbyła się w siedzibie łódzkiego Oddziału ZLP uroczystość, w czasie której Jubilatowi wręczono listy gratulacyjne od **I sekretarza KŁ PZPR, Bolesława Koperskiego i prezydenta m. Łodzi, Józefa Niewiadomskiego.** Życzenia i kwiaty przesłał Jubilatowi **Minister Kultury i Sztuki, Prezydium ZG ZLP oraz koledzy pisarze, księgarze, wydawcy.**

W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych miasta z kierownikiem Wydziału Propagandy i Kultury KŁ PZPR — **M. Celedą.** Wydawnictwo Łódzkie przygotowało na Jubileusz H. Safrina kolejny tom jego utworów „W arce Noego" w nakładzie 100 tys. egz.

W dniu 25 stycznia, o godz. 17.00 Jubilat spotka się z czytelnikami w Domu Środowisk Twórczych.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI

ŁÓDŹ PRACOWAŁA DLA ZWYCIĘSTWA

Na terenach wyzwolonych w 1944 roku spod okupacji niemieckiej władza należała do KRN a funkcję rządu sprawował PKWN. Decyzje w sprawach gospodarczych należały do Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów PKWN. Główne zadanie polegały na zabezpieczeniu, uruchamianiu i odbudowie zakładów przemysłowych. Resort Gospodarki współdziałał przy organizowaniu wydziałów przemysłowych i decydował o rozdziale kredytów.

Powstawały tymczasowe zarządy fabryk, w skład których wchodzili: dyrektor, przedstawiciel miejscowej władzy oraz delegat komitetu fabrycznego. Komitety fabryczne porządkowały zniszczone zakłady przemysłowe, kompletowały załogę, wyszukiwały ukryte surowce i określały możliwości produkcyjne.

Dział Przemysłowy, powstały przy Resorcie Gospodarki Narodowej PKWN, zajął się zabezpieczeniem obiektów przemysłowych przed grabieżą i dewastacją. Dzięki temu możliwe było szybkie rozpoczęcie produkcji tak istotnej dla potrzeb wojska i społeczeństwa. Utworzono kilkudziesięcioosobowe grupy (fachowcy, działacze polityczni), które posuwały się w ślad za wojskiem. Szkolono je w Lublinie i na Pradze, a po utworzeniu 6 stycznia 1945 roku Ministerstwa Przemysłu zostały mu one podporządkowane.

STRATY I ZNISZCZENIA

12 stycznia 1945 roku rozpoczęła się wielka ofensywa wojsk radzieckich i polskich. Po wyzwoleniu Warszawy (17 stycznia) nastąpiło wyzwolenie Łodzi (19 stycznia). Łódź i jej przemysł w okresie wyzwalania niezbyt mocno ucierpiały dzięki błyskawicznej ofensywie wojsk radzieckich.

W okresie okupacji małe zakłady przemysłowe łączono w duże ośrodki pracujące na potrzeby okupanta. Pozostałe maszyny oraz maszyny z zakładów nie produkujących na potrzeby wojenne wywożono do Rzeszy. Przed zbliżającą się ofensywą znaczną ilość maszyn i urządzeń była demontowana i wywożona przez właścicieli w głąb Niemiec.

Dzięki postawie łódzkiej klasy robotniczej straty zostały pomniejszone. Robotnicy sabotowali wywózkę maszyn oraz chronili je przed zniszczeniem i zdewastowaniem. Pomimo znacznych strat jakie poniósł przemysł łódzki, wskaźnik jego zniszczeń był niższy od wskaźnika zniszczeń przemysłu w Polsce. Z danych archiwalnych wynika, że z ogólnej liczby 30.017 zakładów przemysłowych zniszczonych zostało 19.592, tj. ponad 65 procent. Natomiast na terenie Łodzi, w 1945 roku, zniszczonych było 309 z 780 zakładów przemysłowych, co stanowiło 39,6 proc.

Jeszcze w grudniu 1944 roku Łódź liczyła 361 tys. mieszkańców, natomiast w dniu wyzwolenia — zaledwie 250 tysięcy, co w porównaniu z 680 tysiącami z okresu przedwojennego obrazuje wielkość strat, jakie poniosła ludność miasta. Uniemożliwiło to natychmiastowy powrót do normalnych warunków życia i pracy w mieście.

URUCHAMIANIE PRZEMYSŁU

Duże zasługi w uruchomieniu łódzkiego przemysłu miała łódzka grupa operacyjna działająca od następnego dnia po wyzwoleniu. Na czele tej 77-osobowej grupy stał pełnomocnik Rządu Tymczasowego, Ignacy Loga-Sowiński. Mianowano tymczasowych kierowników zakładów oraz powołano lokalne władze przemysłowe. Komitety fabryczne ściśle współpracowały z grupą operacyjną. Nawiązywano współpracę między zakładami tych samych branż oraz między poszczególnymi gałęziami przemysłu łódzkiego. Rozwiązywano problemy zaopatrywania fabryk, ich finansowania jak również kompletowano załogi. Grupa operacyjna realizowała generalne założenia polityki gospodarczej PKWN.

Struktura zakładów przemysłowych pod względem prawnym w lipcu 1945 roku przedstawiała się następująco:

— państwowe i pod zarządem państwowym — 629, spółdzielcze — 16, samorządowe — 6, prywatne — 126.

W jednym z największych zakładów, u „Poznańskiego", już 22 stycznia 1945 roku rozpoczęła pracę przędzalnia. 24 stycznia rozpoczęły pracę zakłady Johna. Mimo licznych trudności wiele innych fabryk podejmowało pracę i 15 lutego uruchomiono 102 najmniej zniszczonych z 303 zakładów.

Jedną z istotnych problemów w nowo uruchamianych zakładach pracy był brak surowców niezbędnych do produkcji. W pierwszych dniach lutego przed robotniczą Łodzią pojawił się kryzys żywnościowy, który zagrażał nowo powstającemu życiu gospodarczemu. PPR zorganizowała brygady aprowizacyjne, które, korzystając z 600 przydzielonych przez armię radziecką ciężarówek, dowoziły żywność z woj. lubelskiego. Jednej z brygad postawiono zadanie wyszukiwania na terenie całego kraju surowców i materiałów do produkcji włókienniczej. W okolicach Poznania odnaleziono 60 wagonów potrzebnego surowca.

Wydajność pracy w zakładach była wtedy niska. Powodem był brak kadr inżynieryjno-technicznych i robotników wykwalifikowanych. W późniejszym okresie zorganizowano w Łodzi 30 szkół zawodowych. Surowce nadeszły ze Związku Radzieckiego. Pierwszy transport przyszedł w marcu 1945 roku.

O szybkim tempie odbudowy życia gospodarczego Łodzi świadczy fakt ciągle zwiększającej się liczby zatrudnionych w przemyśle. 1 marca 1945 roku liczba pracujących przekroczyła 10 tysięcy, a 9 maja 1945 roku wynosiła już około 60 tysięcy.

Wzrastały również możliwości produkcyjne poszczególnych zakładów i według Zjednoczenia Przemysłu Włókienniczego: „... przemysł jest przygotowany do podjęcia produkcji i potrafi zaspokoić potrzeby rynku wewnętrznego w ciągu najbliższych miesięcy; fabryki będą mogły wyprodukować miesięcznie 12 mln metrów tkanin bawełnianych i 1 mln metrów tkanin wełnianych".

CO PRODUKOWANO?

Ekonomiczny wkład wyzwolonej Łodzi w wojnę z Niemcami w końcowym jej okresie był duży. Świadczą o tym dane statystyczne dotyczące wielkości produkcji funkcjonującego przemysłu łódzkiego. Główny wysiłek robotniczej Łodzi skierowany był w tym okresie na zaspokojenie potrzeb ludowego Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej. Pracowano pod hasłem: „Wszystko dla frontu". Pierwsza gazeta w wyzwolonym mieście „Wolna Łódź" wzywała:

„Miasto nasze musi wciągnąć się w ogólny rytm wysiłku wojennego. Od nas w dużej mierze zależy termin ostatecznego zwycięstwa nad hitleryzmem. Potrzebna jest Łódź frontowi. Żołnierza trzeba ubrać, nakarmić i uzbroić. Owoc zwycięstwa nie spadnie nam z nieba, trzeba go stworzyć. Łódź robotnicza wytężoną pracą weźmie godny udział w działaniach wojennych. Niech zadudnią motory, niech zahuczą fabryki. Łódź jest polska. Łódź — jest patriotyczna. Do pracy".

Do momentu wyzwolenia Łodzi cały ciężar zaopatrywania wojska w mundury spoczywał na barkach przemysłu radzieckiego. Mobilizacja na wyzwolonych terenach powodowała dalszy wzrost zapotrzebowania na mundury, obuwie itp. Według danych Departamentu Intendentury Głównego Kwatermistrzostwa WP z 1. XII. 1944 r. braki w umundurowaniu wynosiły około 22 tys. kompletów umundurowań. Wyzwolona Łódź stwarzała możliwości zaspokojenia tych potrzeb wykorzystując produkcję przemysłu lekkiego, 102 uruchomionych już (od 15. II.) zakładów produkcyjnych. Do Łodzi skierowana została w końcu stycznia grupa 50 oficerów na czele z zastępcą Głównego Kwatermistrza WP w celu ustalenia możliwości przemysłu łódzkiego i udzielenia pomocy w zorganizowaniu produkcji umundurowania i innych przedmiotów dla wojska. Z uruchomionych zakładów wytypowano 28, do których skierowano przedstawicieli wojska, którzy byli niezbędni przy organizowaniu komórek technicznych. Komitety fabryczne usuwały piętrzące się trudności przy współudziale lokalnych władz i wojska.

Jako pierwsze dały dla wojska produkcję załogi byłej firmy Poznańskiego, wytwarzając do 10 lutego 1945 roku około 80 tys. metrów tkaniny i byłej firmy Scheibler i Grohmann — 60 tys. metrów tkaniny. Z około 30 tysięcy zatrudnionych w Łodzi w połowie marca — 10 tysięcy zajmowało się produkcją dla wojska.

Od 26 lutego 1945 roku produkcję dla wojska objęto planem CZPWI. Oficerowie przydzieleni do poszczególnych przedsiębiorstw, w oparciu o organizację PPR i aktyw innych organizacji politycznych, mobilizowali załogi do wydajnej pracy wygłaszając referaty, pogadanki i przeprowadzając rozmowy na tematy polityczne: współdziałali w organizowaniu życia kulturalnego dla załóg robotniczych (koncerty, okolicznościowe akademie, przedstawienia).

Dla poprawy trudnej sytuacji aprowizacyjnej 10 tys. robotników zatrudnionych w fabrykach pracujących dla wojska — Główny Kwatermistrz WP polecił wydać z magazynów pewną ilość racji żywnościowych. W łódzkich fabrykach pracujących dla wojska wizytę złożyli przewodniczący KRN, Bolesław Bierut i naczelny dowódca WP, gen. broni Michał Rola-Żymierski.

Od 26 lutego do 31 marca 1945 roku przemysł włókienniczy Łodzi, Pabianic, Zgierza dostarczył wojsku m. in. 1.724.173 metry tkaniny bawełnianej, 90.987 metrów tkaniny wełnianej. Przemysł konfekcyjny m. in. — 72.248 mundurów, 76.098 spodni, 8.473 płaszczy, 36,398 koszul, 100 tys. par skarpetek oraz kilka innych części umundurowania.

W kwietniu 1945 roku produkcja niektórych części umundurowania była wyższa niż w marcu, chociaż nie tak wysoka, jak zakładało złożone zapotrzebowanie. Produkcja płaszczy wojskowych wzrosła trzy razy, koszul — ponad trzy razy, rogatywek polowych uszyto 3,5 razy więcej — w sumie 57.459 sztuk i szereg innych przedmiotów. Ciągłość produkcji utrzymywano dzięki dostawom ze Związku Radzieckiego. Tylko w okresie od 8 do 10 kwietnia 1945 roku nadeszło z ZSRR do Łodzi 175 wagonów bawełny i wełny, a w następnym okresie jeszcze 343 wagony bawełny oraz 100 wagonów wełny.

Oprócz przemysłu włókienniczego brały udział w dostawach dla wojska inne przemysły. Przemysł obuwniczy dostarczył: około 30 tys. par obuwia nowego (drugie tyle naprawił), 43.979 kg skóry podeszwowej oraz znaczne ilości skóry juchtowej i chromowej. Przemysł chemiczny dostarczał barwniki i chemikalia do tkanin wojskowych. Łódzkie zakłady przemysłu gumowego dostarczyły dla armii około 21.292 pary obuwia gumowego i 56.086 kg gumy na zelówki i obcasy. Polski Monopol Tytoniowy w Łodzi przeznaczał ponad 50 procent rosnącej produkcji dla wojska. Ponadto szereg instytucji wojskowych lokowało zamówienia w zakładach łódzkich. Np. Departament Personalny WP zamawiał w zakładach łódzkich wykonanie różnych odznaczeń, Urząd Drogowy WP zawarł umowę na dostawę części żelaznych. Służba samochodowa Głównego Kwatermistrzostwa rozmieściła swoje urządzenia remontowo-ewakuacyjne w Łodzi i tu kierowano uszkodzone pojazdy.

Wymieniona powyżej działalność produkcyjna i usługowa Łodzi dla frontu nie jest jeszcze pełna. Z dostaw i usług przemysłu łódzkiego korzystała również Armia Radziecka. Koniec wojny nie oznaczał końca produkcji dla wojska — zmiany w organizacji zaopatrzenia nastąpiły dopiero, gdy wojsko przeszło w stan pokoju.

WITOLD KOLMASIK

ŻOŁNIERZ POLSKI WYSTĄPIŁ ZBROJNIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Działający w Paryżu Komitet Narodowy Polski przystąpił do starań o obecność delegatów Polski na przygotowywanej w Paryżu Konferencji Pokojowej. Delegatami tymi zostali Roman Dmowski i Ignacy Paderewski którego początkowo zastępował Erazm Piltz. Komitet Narodowy Polski przystąpił też do przygotowywania materiałów które byłyby pomocne Konferencji Pokojowej w ustaleniu przyszłych granic Polski. Ale kiedy do tych prac przystąpiono okazało się, że dla przedstawicieli państw Ententy tylko ziemie byłego Królestwa Polskiego mogą być bez żadnych sprzeciwów przyznane niepodległej Polsce. Natomiast już Galicja stanowiła „kwestię sporną" a tak zwana Komisja House'a, która ze strony koalicji zajmowała się zbieraniem materiałów do rozsądzania kwestii terytorialnych miała wyraźną instrukcję, aby „ziemiami zaboru pruskiego wcale nie zajmowała się" — jak to stwierdził Roman Dmowski.

Tak więc — zdaniem państw zwycięskich — los Poznańskiego Pomorza i Śląska był przesądzony. Ziemie te miały pozostać w ręku niemieckim. Takie stanowisko było całkowicie sprzeczne z orędziem prezydenta USA Woodrowa T. Wilsona, który zapewniał, że państwo polskie powinno **„obejmować terytoria zamieszkałe przez bezspornie polską ludność z zapewnionym wolnym i bezpiecznym dostępem do morza".**

II. Napływające do Poznania wieści z frontu, jak też z innych części kraju rozbudziły nadzieje Polaków pozostających jeszcze w obrębie państwa niemieckiego. W październiku 1918 roku posłowie polscy do parlamentu Rzeszy Niemieckiej — Władysław Seyda, Antoni Stychel i Wojciech Korfanty wystąpili z żądaniami oderwania ziem polskich od Niemiec i przyłączenie ich do rodzącego się państwa polskiego. Wojciech Korfanty tak to sformułował:

„Żądamy polskich powiatów Górnego i Średniego Śląska, Poznańskiego, Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich".

Żądania te uzyskały szerokie poparcie społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim: na Śląsku, w Prusiech, Poznańskiem, na Pomorzu. Rodziły się nadzieje na powrót tych ziem do Polski. Nadzieje te powiększyła jeszcze rewolucja, jaka wybuchła w listopadzie 1918 roku w Niemczech. Ale nowe władze Niemiec w sprawie wschodniej granicy swego państwa stały na tym samym stanowisku, co obalone władze monarchii. Godziły się wprawdzie na złagodzenie polityki wobec Polaków, na danie im pewnych praw samorządowych ale ziemie te miały nadal pozostać w państwie niemieckim. Stanowisko takie znalazło — jak wiemy — uznanie państw Ententy.

Polacy jednak nie zrezygnowali. W konspiracji przygotowywano się do zbrojnego dochodzenia swoich praw narodowych i politycznych. Przygotowania do ewentualnego powstania prowadziły różne organizacje: „Zet", „Unia" „Warta" „Sokół", skauci. W lutym 1918 roku powstała POW zaboru pruskiego, która znajdowała się pod wpływami piłsudczyków. Od 1916 roku działało też Koło Międzypartyjne, które przekształciło się najpierw w Tajny Międzypartyjny Komitet, a w lipcu 1918 roku w Centralny Komitet Obywatelski, aby ujawnić się 10 listopada 1918 roku i przekształcić się w Radę Ludową. Praca tej organizacji w zaborze pruskim kierowała Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu poprzez Tymczasowy Komisariat NRL, w skład którego wchodzili: ks. Stanisław Adamski, Adam Poszwiński, Wojciech Korfanty.

Jednocześnie powstały rady żołnierskie i robotnicze. 12 listopada 1918 roku poznańska Rada Żołnierzy i Robotników stwierdziła, że jej zadaniem jest utrzymanie porządku w mieście, i że nie będzie zajmowała się przesądzaniem przyszłej przynależności państwowej tych terenów. Uznała ona polską Radę Ludową za przedstawicielstwo polskiego społeczeństwa i stanęła na stanowisku, że wszelkie postanowienia mają być podejmowane za wzajemnym porozumieniem.

Rosły nadzieje na powrót do Polski. Patriotyzm, swoboda demonstrowania polskości dawały znać o sobie niemal na każdym kroku. Dyskutowano o barwach narodowych, o nazwie przyszłych pieniędzy. Maciej Wierzbiński zapraszał do „Bazaru" na odczyt pod tytułem „Upadek Niemiec". Kobiety radziły o równouprawnieniu kobiet. Swój polski związek powołali do życia kelnerzy Poznania, podobnie uczynili szewcy i nauczyciele. Pojawiło się ogłoszenie:

„Polskie odznaki narodowe — orzełki, wstążeczki narodowe, o ile nie są rażąco wykonane, wolno nosić publicznie".

Ten radosny wybuch polskości nie był w smak Niemcom. Przystąpili oni do ofensywy przeciw polskim dążeniom. Organizowali kontrdemonstracje.

3 grudnia 1918 roku zebrał się w Poznaniu Sejm Dzielnicowy, który wyraził solidarność z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu, uchwalił rezolucję o przyłączeniu ziem zaboru pruskiego do Polski oraz wezwał Józefa Piłsudskiego do utworzenia rządu koalicyjnego. Poznańskie pozostawało bowiem pod przemożnym wpływem Narodowej Demokracji, która była przeciwna Piłsudskiemu i zachowawcza w stosunku do ruchu ludowego i robotniczego.

13 grudnia 1918 roku odbyła się w Poznaniu wielka demonstracja ludności niemieckiej, która protestowała przeciw uchwałom Sejmu Dzielnicowego i miała wyraźnie antypolski charakter. Do Poznania zaczęły napływać oddziały Grenzschutzu.

26 grudnia 1918 roku przyjechał do Poznania Ignacy Paderewski. Przyjechał mimo sprzeciwu władz niemieckich. Zatrzymał się w „Bazarze" 27 grudnia odbyła się wielka manifestacja dzieci polskich.

„Dziś w południe — pisał „Dziennik Poznański" — złożyły pp. Paderewskim imponujący hołd dzieci poznańskie. Czoło olbrzymiego pochodu, w którym wzięły udział 23 tysiące dzieci stanęło o 12 przed Bazarem, Tymczasem zebrały się na ulicy niezliczone tłumy publiczności..."

III. Tego samego dnia, 27 grudnia 1918 roku, na Łazarzu żołnierze niemieccy zdzierali chorągwie koalicyjne i polskie. Zdemolowano lokal Komisariatu NRL, ostrzelano z karabinów maszynowych „Bazar". Polacy odpowiedzieli ogniem. Rozpoczęło się powstanie. Do Poznania ściągnęły oddziały polskie z Kórnika, Środy, Jarocina i Pleszewa. Wieczorem wolne było centrum Poznania. Do 3 stycznia 1919 roku wolne już były: forty poznańskie, Cytadela, zajęto koszary artylerii na Golęcinie. 6 stycznia 1919 roku zdobyto lotnisko w Ławicy. Niemiecka władze obalono w Gnieźnie, Wągrowcu, Obornikach, Szamotułach, Nowym Tomyślu, Grodzisku Kościanie, Gostyniu, Krotoszynie, Pleszewie, Jarocinie i Wrześni. 6 stycznia 1919 roku zdobyto po ostrych walkach Inowrocław. Na pomoc poznaniakom pospieszyły oddziały wojskowe z byłego Królestwa.

8 stycznia 1919 roku po krwawych walkach zdobyto Chodzież. 11 stycznia powstańcy zdobyli Zbąszyń, a także — po największej operacji wojskowej powstania, w której brało udział 3.500 żołnierzy polskich — zdobyto Szubin i Żnin. Bez większego trudu zdobyto tego dnia Leszno i Rawicz.

Naczelna Rada Ludowa opublikowała odezwę, w której wyłożyła swoje zasady postępowania:

„Opierając się na zaufaniu żołnierza i obywatela polskiego Naczelna Rada Ludowa zdobytej władzy wydrzeć sobie nie pozwoli. Przedstawiciele jej wypowiedzieli bawiącym w Poznaniu ministrom pruskim, którzy się z tym stanem rzeczy pogodzić musieli. Uporządkowanie nowych prawnych stosunków nie może nastąpić od razu, ale stanie się to niebawem. Odpowiadałoby uczuciom narodu, gdyby nasza ziemia złączyła się od razu z Macierzą-Ojczyzną. Rozum polityczny, względy na politykę wewnętrzną i zewnętrzną nakazują nam nie zrywać ostatnich nici łączących nas z Berlinem, lecz pozostawić ostateczne określenie zachodnich granic Polski kongresowi pokojowemu".

W połowie stycznia 1919 roku Niemcy zorganizowali ofensywę przeciwko powstańcom. Powstańcy odparli niemieckie ataki. W lutym podpisano rozejm najpierw na dwa tygodnie a później przedłużono go. Koalicja uznała powstańców za swoje wojska. Uznano też linie demarkacyjną między wojskami niemieckimi a powstańczymi. W czerwcu 1919 roku po podpisaniu traktatu pokojowego Poznańskie wróciło do Polski. Do sierpnia władzę sprawował NKL, później utworzono Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej. Poznańskie zachowało swoją odrębność, między Wielkopolską a Królestwem początkowo istniała granica celna i paszportowa. Później odrębność została zmniejszona, ale Poznańskie nadal było domeną endecji, zachowując swoją inność polityczną społeczną i gospodarczą.

Powstanie Wielkopolskie — wielki patriotyczny zryw Polaków — przyczyniło się do zmiany stanowiska Ententy w sprawie zachodnich granic Polski, ale nie we wszystkich sprawach. Jeszcze Ślązacy musieli walczyć o prawo powrotu do Polski, jeszcze odbyły się plebiscyty. Walka o powrót do Polski trwała więc nadal. Dla wielu Polaków problem ten rozstrzygnęła dopiero klęska Niemiec hitlerowskich w maju 1945 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JERZY SURDYKOWSKI

OBLĘŻENIE

Andrzejka i Ankę (— skoro ich tak nazwaliśmy —) można by (także) nazwać małżeństwem kochającym się. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ten sens owego słowa, jaki mu jest zwykle nadawany. Ale też w sensach innych, do jakich można by dojść, jeśliby to słowo bliżej rozważyć, wydawało się być podobnie i zapewne do podobnego wniosku dochodzili oni sami, jeśli się już które mogło wdać w samotne rozważania. Częściej kochając się fizycznie — bo i mieszkanie wspólne i stan Anki jeszcze niezbyt zaawansowany, więc dla miłości takiej bezpieczny — uzyskiwali wzajemne zaspokojenie, (a i zbliżali się do siebie nie tylko naskórkami). Tak się miało ku lepszemu, choć to, co powiedziano tu o rozważaniach mogło nie mieć miejsca z braku czasu, u Andrzejka zwłaszcza. Podjąwszy znów pracę w starej, niekochanej stoczni wrócił do spawalniczej maski i wciskał się ze swymi elektrodami w najciaśniejsze zakamarki przyszłych statków, którymi nie jemu dane będzie popłynąć ku Nieznanym Wyspom. Czynił to tym chętniej, im bliżej było do terminu urodzin, a zwłaszcza później. Tym chętniej, im więcej było dniówek w nadgodzinach i im lepiej płatne roboty mu powierzano. Czuł się mężczyzną. Trzeba targać forsę, bo i potrzeby coraz większe, a dzieciak przecież najlepiej ma przy matce. Tylko łajza, nie potrafi zarobić na dom i dziecko, jak przystało. Dlatego też nie podskakiwał i starał się trzymać z właściwą bandą. Nie będzie tu mowy o żadnych grupach bandyckich, tylko o grupach zwyczajnych, jakie otaczają majstrów i najlepszych fachowców, którzy coś na wydziale znaczą. Były dwie najważniejsze bandy: Piwusa i Szweda. Piwus miał złote ręce, takież serce i dużo orderów. Potrafił pracować szybko, ale zdarzało mu się to coraz rzadziej, bo lat przybywało; dlatego garnęli się doń młodsi, chętnie zaspokajając jego namiętność do pienistego napoju i licznych słuchaczy, a mając nadzieję na lepsze roboty, bo u Piwusa tyle orderów, że do samego kierownika wydziału wchodził bez pukania i z pyskiem. Szwed za to był fachowcem jeszcze lepszym, bo młodszym i nie tak zapyziałym, bardziej za to zamiłowanym w porządku. Tak bardzo, że od pozostałych członków swej bandy ściągał regularny haracz miesięczny, rewanżując się istotnie robotami wedle owych wpłat i niczym ponadto. W tajniki zawodu wprowadzał nieskoro, bez piwusowej wylewności i tylko wedle własnej potrzeby. Był silny, wysoki nieprawdopodobnie zręczny i lakoniczny w słownictwie, stąd przezwisko. Bić też potrafił i do dotkliwie, ale miał zaprzyjaźnionych ludzi na różnych stanowiskach, więc rzadko tylko osobiście i ręcznie musiał regulować porachunki. Gdy zmieniał się kierownik wydziału lub jego zastępca — a zdarzało się to nierzadko — lub gdy z odgórnego nakazu usiłowano robić porządek, przywódcy obu band, a także jeszcze inni, jednoczyli się w zgodnym oporze przeciw zakusom władzy na ich zarobki oraz wpływy. Nastawał okres zwany „zimną wojną", kiedy pracowano mało i tyle jak, patrząc tylko kiedy szefowie spuszczą z tonu. Spuszczali dość prędko, bo terminy goniły; tedy robota ruszała i wszystko wracało do normy. To znaczy do sytuacji kiedy zarabiał dobrze ten, co mu się wedle podporządkowania należało, a ludzie Szweda i ludzie Piwusa nie podawali sobie rąk nawzajem.

Nic dziwnego, że Andrzejek starał się trzymać z Piwusem, a że godził się brać nawet najgorsze roboty, byle dużo i w nadgodzinach, szybko wszedł w łaski. Aż nareszcie dobrał go sobie do pomocy taki jeden, co był prawą ręką mistrza Piwusa, a zwano go Grubym Heńkiem; razem szarpali najtrudniejsze prace, razem wciskali się w zakamarki zenz, razem wdychali ten sam smród, ale tylko Andrzejek złaził w dół gdy trzeba było regulować prąd, przynieść elektrody albo oranżadę. Od Heńka nauczył się najlepszych i najtajniejszych sposobów, najdelikatniejszych chwytów, co z robotnika czynią pomału mistrza i fachowca.

Szło im tym lepiej, że Gruby Heniek jeszcze bardziej pazerny był na pieniądze, choć honor zakazywał mu brania haraczy. Połączyły ich tak wolno wlokące się wieczory wypełnione syczeniem setek spawalniczych ogni zmobilizowanych w nagłym zrywie tuż przed walącym się kierownictwu na kark terminem wodowania; długie, czasem aż nocne godziny mierzone coraz ostrzejszym bólem spojówek, coraz większą dusznością w płucach, coraz płytszym, a (coraz bardziej) dokuczliwym kaszlem. Czuli łzy w oczach, krew w krtani i ciężar w kieszeniach, kiedy wracali przez wymarłe miasto ku swoim jeszcze pachnącym tynkiem mieszkaniom, gdzie tak wiele było pustych kątów do zapełnienia meblami, ku rozespanym żonom. Heniek opowiadał o domu, który zbuduje i o gablocie, którą kupi. Połączyły ich dokuczliwe zawieje wdzierające się śniegiem aż do wnętrza stalowych kadłubów i nie mniej dokuczliwe upały, kiedy dym stawał się jeszcze bardziej żrący. Wprawdzie przydzielano im mleko dla ulżenia płucom i gardłom, ale jaki mężczyzna piłby mleczko w robocie, a zresztą nie starczało czasu, podobnie jak na przepisane przerwy i badania lekarskie. Za to wypłaty rosły ku radości Anki, choć pomstowała na późne powroty.

Aż doszło do starcia: stary Piwus nie mógł dać sobie rady ze spawaniem przy pomocy nowoczesnych, szybkich automatów, więc był zdania, że młodsi też powinni przeciwstawiać się nowinkom, co mu są nie w smak. Co gorsza Szwed świetnie sobie dawał radę z nowomodną techniką, skupulatnie wdrażając do niej tych, co mu się opłacali, a trzymając z dala głupich szczeniaków i niekoleżeńskie sknery. Tak to Gruby Heniek zadarł z Piwusem, ale nie poszedł do Szweda, tylko utworzył nową bandę z Andrzejkiem jako prawą ręką. Mógł sobie na to pozwolić jako długoletni brygadzista, fachowiec i chłop silny, co nie odmówił najtrudniejszej pracy, ani też nigdy nie sarkał na uciążliwe nadgodziny. Łatwo się mówi „utworzył", ale przecież nikt bandy nie zatwierdza, ani nie zapisuje członków oraz kandydatów; po prostu Gruby Heniek zaczął uczyć tych co się do Szweda nie mogli dopchać, ani z Piwusa nie mieli pociechy. Nie tak całkiem za piękne oczy, rzecz jasna, ale nie o haracze tu chodziło, lecz o honor głównie: kto jest większym kozakiem i fachowcem na wydziale i kogo ludzie więcej słuchają?

Teraz do Heńka i Andrzejka przychodzili młodsi z wielkim szacunkiem i propozycją fundowania, na nich to też młodsi sarkali, że sami wyłapują co lepsze roboty, innym pozostawiając mordęgę niskopłatną. Taka jest jednak kolej rzeczy i takie obroty świata: nie od razu szczawik fachowcem się staje, choć myśli że rozumy pojadł. Wiedział jednak Gruby Heniek co robi, choć go posądzano o czystą bezinteresowność i zaangażowanie; skoro skuteczniej i chętniej dopuszczał młodych do wiedzy i roboty, z miejsca osłabła na wydziale pozycja Szweda, zbyt zadufanego w wymyślonym przez się porządku. Kierownictwo też szybko odczuło ulgę i umiało się odwdzięczyć za przełamanie szwedowej mafii i piwusowych obstrukcji. Więc jak Heniek powiedział, że ktoś ma dostać lepszą robotę lub awans, to tak było. Jak nagrodę, to tak było również. Jeśli Heniek kręcił nosem na kalkulację, to kierownik wołał technologa na długą rozmowę, a nos heńkowy często się marszczył, zwłaszcza gdy o własne roboty szło. Tak szczęściła im Matka Boska Pieniężna.

Tak mijały miesiące ciężko przepracowane; dobrze było, tylko Gruby Heniek — choć coraz bardziej wypinał brzuszysko, pewny swej pozycji i zarobków — coraz też częściej usiłował gwałtownymi atakami płytkiego kaszlu wypędzić z płuc dławiącą go zmorę. Strzelał wtedy zimną oranżadę, albo piwko wniesione po kryjomu w teczce przez któregoś z uczynnych młokosów i brał się dalej do swych nie cierpiących zwłoki robót, starannie dobranych pod kątem zaszeregowania. Coraz też rzadziej oponował, gdy mu ludzie przyuczeni do szwedowych i piwusowych porządków proponowali podział zysków lub nawet niewygórowany haracz dla pozyskania protekcji. Już nie tylko jeden Andrzejek był u niego prawą ręką; banda się rozrosła i prosperowała coraz lepiej. Nie o interesach bandy myślał, lecz o tym głównie co kupić do nareszcie własnego mieszkania, a także o tym, czy Anka wpuści go wieczorem do łóżka i czy nie odwróci się na drugi bok, lub nie położy dziecka między ich ciała. Dawno przepadły gdzieś Nieznane Wyspy, a także matura i książki. Wieczorami gapił się w telewizor i wkrótce zasypiał na siedząco. Anka sarkała, że dziadzieje daleko przed trzydziestką. Bolały plecy i ręce, piekła krtań, nie chciało się nawet odcinać, co rozjuszało dziewczynę. Lepsze były rozmowy o meblach, wczasach, spłatach, a nawet o kolejkach w sklepie; tu znajdowali więcej zgodności. Więc tym bardziej gonił robotę tuż za rozpędzonym Grubym Heńkiem, w krótkich chwilach odpoczynku słuchając opowieści o gablocie. Nie dziw więc, że słabiej docierały do nich odgłosy tego, o czym mówią ludzie mniej się śpieszący i nie tak dobrze usytuowani na swych nie nazwanych i nie zapisanych stanowiskach. Nie dziw też, że zdrowo sypali swoimi iskrami, kiedy ich nie tak obrotni koledzy w pewien grudniowy poniedziałek zebrani w rosnące kupy — zamiast wziąć się rankiem do roboty — pomstowali zrazu na zawartość kiosku i własnych kieszeni, ale stopniowo też i na zupełnie inne dolegliwości, o których przedtem mówili rzadziej, albo wcale. W pewnym momencie Gruby — jak zwykle szybki — błyskawicznie ocenił sytuację:

— Zwijamy się. Nic tu po nas!

— Jak to, przecież koledzy....

— Rób szczeniaku co ci radzę!

— Robimy rewolucję! — zawołał do Anki już na progu.

— Nigdzie nie pójdziesz! — krzyczała histerycznie, Nie ruszysz się z domu!

Wieczorem zaszedł do Grubego Heńka. W podkoszulce i gaciach siedział przed telewizorem lakonicznie gadającym o wydarzeniach. Oblazły go dzieciaki.

— Szukasz guza, to idź — powiedział. — Też masz żonę, też masz dzieciaka, też masz co stracić. Ja przeczkam, ja mam swój rozum.

Tak minęły dni, które nie były jego dniami. NIE BYŁY...

— Nigdzie nie pójdziesz! Nigdzie nie pójdziesz! — histeryzowała Anka.

Patrzył potem w zmęczone twarze kolegów, czuł wstyd. Za swój wstyd obwiniał Ankę, co przynosiło mu pewną ulgę.

— Teraz nie żałujesz — powiedział Gruby Heniek, gdy już szło ku lepszemu. — Zawsze mnie słuchaj.

— Teraz nie żałujesz — mówiła Anka. — Zawsze mam rację.

Dalej szarpali robotę, ale — choć zarobki wzrosły i roboty przybyło — coraz częściej ludzie nie okazywali należnego szacunku Grubemu Heńkowi, Szwedowi, a nawet Piwusowi.

Rozłaziła się spoistość band, rozwydrzone młokosy coraz oporniej dzieliły się dolą z przywódcami. Swój żal i swój wstyd, Andrzejek wyładowywał w snopach iskier i zaciekłości pracy, coraz rzadziej i coraz bardziej urywanie rozmawiając ze swym mistrzem. Coraz więcej mieli przed sobą do ukrycia. Aż stało się, że Gruby Heniek nie przyszedł pewnego dnia do roboty, co nie zdarzało mu się nigdy, chyba że złapał absolutnie wyjątkową fuchę u prywaciarza. Tym razem rychło gruchnęła wieść, że zabrało go z domu pogotowie: w południe przyleciał do spawaczy behapowiec i kierownik — zaawansowana pylica płuc! Gruby nie przyjdzie do roboty ani jutro, ani za miesiąc, jest w szpitalu, potem będzie długo w sanatorium i nigdy już nie kupi gabloty, a wszyscy inni po robocie zgłoszą się do przychodni.

— Pan ma początki — powiedział Andrzejkowi lekarz po kilku dniach. — Z panem będzie to samo. Co pan robił z przydziałowym mlekiem?

— Zostawiałem i kisło. Albo brałem do domu...

— Dlaczego wy tak wszyscy... — powiedział lekarz. — Dlaczego przypłacacie zdrowiem, czy warto?

— Czy pracował pan kiedyś w akordzie? — zaczął mówić po chwili Andrzejek połykając słowa. — Czy nagle dostał pan mieszkanie, nie mając przedtem nic, prócz wyra u matki? Czy nigdy nie otwarły się przed panem takie wielkie szerokie wrota?

— Człowieku, ty nie masz jeszcze trzydziestu lat!

— Czy pan nie ma żony?

— Mam, ale co do tego?

— No... — zakrztusił się Andrzejek. — No, bo... Ja się staram, może nie!

— Niech pan już idzie — powiedział lekarz bardzo cicho. Położył mu dłoń na ramieniu. — Jeszcze nie ma nieszczęścia. Trzeba na jakiś czas rzucić spawanie i ograniczyć się do ośmiu godzin, potem spacer. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Spawał jeszcze jakiś czas, z rosnącym przerażeniem wsłuchując się w swój oddech. Proponowano mu pracę magazyniera za dwa tysiące dwieście. Anka popłakała się, potem powiedziała, że coś sprzeda, aby starczyło na spłatę rat. Wróci do sklepu, dziecko pójdzie do żłobka, drugiego nie będą mieli na razie.

Pewnego dnia, po robocie Szwed zaprosił go na piwko.

— Głupio cię uczył Gruby — rzekł.

— Nieprawda!

— Nie sztuka szarpać dużo forsy, sztuka mądrze.

— Ty będziesz żył dłużej.

— Dłużej i lepiej. Mam dla ciebie wyjście.

— Powiesić się?

— Cep głupi. Pójdziesz na kafarzystę. Załatwię ci to, zrobisz tam kurs i naszarpiesz nie gorzej niż tu, tylko na świeżym powietrzu. Podleczysz płuca, jeśli będziesz chciał, to potem przyjdziesz do mnie.

— Czemu chcesz mi pomóc?

— Bo mi się jeszcze przydasz idioto.

Płakał, ciągnąc swoje ostatnie spolny w stoczni. Pił mleko, które nie mogło się już na nic przydać i patrzał na stojące przy nabrzeżach, otulone rusztowaniami statki: po raz pierwszy od zamierzchłych czasów — gdy skrobał pokład parszywego holowniczka — odczuł znów ich wspaniałą, śmigłą urodę. Po raz pierwszy w życiu prawdziwie żałował tego co minęło, nawet tych nocnych powrotów i nawet walki z zawieją wdzierającą się do oszronionych kadłubów. Na nic teraz i lekarz ze swoimi pigułkami i służbowe mleko i regulaminowe przerwy w pracy.

Tym bardziej, że — jak się okazało — Szwed przestrzegał tego wszystkiego, wdrażając do owego porządku również swoich ludzi, którzy mu się opłacali. Dla wtajemniczonych miał nawet specjalne ziółka, nie znane lekarzom, które przygotowywała mu żona, i które chronić miały lepiej niż wszyscy behapowcy. To wiedział dopiero teraz, choć nie we wszystko wierzył.

Alojz, Zyzmunt, Kaszuba i Klipa, którzy pracowali na starym kafarze przyjęli go niechętnie. Wiele dni upłynęło zanim przypuszczono go do obrządku picia specjalnego wywaru przynoszącego jakby jasność umysłu i dobre samopoczucie, a który parzył Klipa. Brał paczkę sportów, patroszył zawartość, na to sypał torebkę taniej herbaty, zalewał odrobiną wody, wkładał do naczynia żelazne druty i puszczał prąd; sam twierdził, że jeśli zrobić mocniejsze, to przynosi wizje jak po narkotyku, którego nie umiał nazwać, lecz który podobno kiedyś zażywał. Nawet Alojz, choć majster i choć jeszcze bardziej wiekowy od kafarowego żelastwa, dawał się namówić na pół szklanki paskudztwa, ale lubił, kiedy go długo o to proszono, więc rytuał powtarzał się co dzień. Mieli wiele czasu na swoje misteria i rozmowy, bo — napędzana parą i ledwie się trzymająca na wodzie — maszyneria nie wyścibiała nosa poza portowy basen, gdy tylko mocniej dmuchał północny wiatr. W mgliste, bezwietrzne dni holowniki wypychały ich daleko w morze na budowę wielkiego nowego portu i tam potężne młocisko — zwane „babą" ze świstem spadało na roztłuczone łby stalowych pali. Od hałasu pękała czaszka, ale Alojz zakazywał zatykania uszu, bo każdy musi rozumieć mowę metalu, choćby nie wiem jak hałaśliwą. Gdy mgła szczelniej otulała morze tłumiąc nadbiegające fale, czynili swoją ogłuszającą powinność tak długo, jak tylko pozwalały resztki dziennego światła. Następnego dnia zwykle szalał wiatr, albo brakowało rur na stalowe pale, więc grali w karty w ciasnej kabince, klnąc uciekające zarobki. Prócz umiejętności maszynisty i marynarza, do czego był przyuczony, poznawał tu czynności dotąd nie znane, a o których nie znajdziesz wzmianki w regulaminach. A mianowicie: w jaki sposób szybko, nie chwiejąc się i nie wpadając po drodze do wody, przejść po chybotliwej, piywającej w morzu rurze, by przyczepić linę do jej przeciwnego końca, rozpoczynając długi bieg czynności przekształcającej ją w pal, fundament przyszłej przystani morskich olbrzymów. Miało to na celu oszczędność czasu, bo kto by pływał łódką dookoła, mając na karku akord, terminy, kierowników i zrywający się wicher. A dalej: jak byle czym i z byle czego naprawiać nagle, a niespodziewanie, psującą się maszynerię zeszłowieczną? Jak wybierać ogłuszone ryby z wody i smażyć je smacznie na oleju maszynowym? Jak porozumiewać się precyzyjnie, gdy bezlitosna „baba" wali rytmicznie z hukiem wielkokalibrowego działa? Gdy po raz pierwszy zleciał do lodowatej wody, popatrzyli na niego przychylniej. Wiedział sprytny Szwed co robi, pozbywając się dorastającego mu rywala.

Postanowił, że nie będzie już takim głupkiem, jak w stoczni, gdzie z nieszczęsnym Grubym szarpali robotę za trzech. Nie zgadzał się na pozostanie przy pracy w bezwietrzne popołudnia, wywołując wściekłość Alojza. Ale jak się nie zgadzać, gdy są już w morzu; wpław do brzegu? Bardziej jednak rozwścieczył starego mistrza innym razem, kiedy to przez pięć dni wbili z mizernym skutkiem tylko dwa nędzne pale bo im wyznaczono miejsce przy falochronie akurat tam, gdzie wcześniej kto inny sypał w morze kamienne bloki. Alojz uparł się, że skoro mądrzejsi od niego miejsce określili, to on tu będzie walił, aż mu się maszyneria rozleci i ani centymetra dalej, bo porządek rzecz święta. Zmarnowawszy kupę żelastwa dokonali nareszcie dzieła, z czego mistrz był prawdziwie dumny, bo jeszcze nikt w świecie — prócz niego — nie wbijał tak dychawiczną machiną, tak wielkich pali poprzez tak zwaliste kamieniska. Poklepywał swoją parowe klamoty, lał oliwę i kazał wycierać pakułami do czysta. Potem siedzieli przy swoim śmierdzącym wywarze i narzekali na inżynierów, co nic nie umieją. Andrzejek wreszcie powiedział, że gdzie ma taką robotę i kto jest według niego prawdziwie bezmyślny, co stało się przyczyną tym ostrzejszego starcia, że poparł go Kaszuba. Tak płynął czas, tylko na wbitych uprzednio wiązkach pali zaczęto stopniowo układać belki olbrzymich pomostów i zalewać betonem drogę śmiało wybiegającą w morze. Mam to w dupie, powtarzał, mam to w dupie, nic mnie nie obchodzi. Anka patrzyła nań lepszym okiem i troskliwie wypytywała o zdrowie. W chłodnym morskim powietrzu jakby osłabła duszność w płucach i pieczenie w krtani, ale za to trapił kaszel po przeziębieniu wywołanym lodowatą kąpielą, armatni huk rozsadzał czaszkę i nie pozwalał się skupić nie tylko nad ulubioną dawniej książką, ale nawet przed telewizorem. Za to gdy zawiał wiatr od lądu pruszył w oczy siarkowy pył. Drażniła go ta troskliwość dla mężczyzny obrażliwa, ale poddawał się jej. Latem zamierzali pojechać na wczasy w góry, zostawiając dziecko jej rodzicom.

Fragment powieści.

ANDRZEJ ZACZKIEWICZ

INNA ELEGIA

Ani w cieple ani w chłodzie, ani
w ciemnościach ani w światłach, zaledwie
w cudzym śnie
widziałem linoskoczka, szedł z piątej elegii
Rilkego

w nieznanym kierunku
po cienkiej linie na granicy światów;
nic mu nie było wiadomo o Aniele
oraz dywanie wszechrzeczy,

także róża o tysiąckrotnych oczach
opadała w inną stronę,

widziałem, jak jeszcze bez trwogi, pewnie
deptał linę
stopa za stopą, jak
bezwiednie ale i bez wiedzy
przechodził ponad moim jasnym widzeniem
po napiętym,
elastycznym nerwie świata;
pamiętam, że nagle przepaść
wezwała go po imieniu głosem kobiety, z
głębokości

jej ciało, białe
znamię,
świeciło odbitym, nieruchomym
światłem, za-

wahał się,

wahał się,
na cienkiej linie na granicy światów,
rozwiązywał się,
pękał, nabrzmiewał równoważny węzeł, nagość
wyprzedziła go o szybsze od chwili uderzenie
krwi,

o
wzlot strąconego w niebo serca,

tak,
widziałem upadającego, bezskrzydłego Anioła,
którego dławiący mięsień
zwijał, rozwijał, rozchylał i kurczył,
skręcał Nic
w urywany rytm,

spełniało się,
dokonywało na wielkim placu przepaści

tak,
widziałem upadającego Anioła,
którego bezcielesne ciało
skoczyło przed siebie białą smugą
i jak niewidzialne ostrze
otworzyło ranę na wysokości
oczu: śniąca
zbudziła się z łzą krwi
na policzku, światło codzienne i ciemność
tworzyły węzeł, obudź się,
powiedziała, chwyciłam ustami twoje serce,
wstań, wstań
i dotknęła mojego nieobecnego ramienia.

1978

I nagroda na Turnieju Jednego Wiersza o PUCHAR WINA, zorganizowanym przez Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych Łódzkiego Domu Kultury oraz Koło Młodych przy Łódzkim Oddziale ZLP.

TOMASZ SOLDENHOFF

CZEKAJĄC NA WĘGIEL

4 stycznia 1979 r. — w tym samym dniu, kiedy radio nadawało niepokojące komunikaty o zbliżaniu się drugiej fali mrozów — zatelefonowałem do EC-3.

— **Raczej niech pan nie przyjeżdża nie będzie miał się kto panem zająć** — usłyszałem — **Pracujemy po dwanaście godzin, grzejemy resztkami węgla. Wszystko przygotowane do przyjęcia transportu: ludzie, maszyny. Ale czy się doczekamy? — tego naprawdę nie wiem.**

Poprzedniego dnia w łódzkich elektrociepłowniach wprowadzono wydłużony czas pracy. W centrali Zespołu im. Lenina dyrektorzy rozpoczęli na zmianę dwunastogodzinne dyżury. Nastrój mobilizacji rósł także w mieście. Co bardziej zapobiegliwi robili zapasy, wykupywano lampy naftowe i spirytusowe maszynki. W centrum Łodzi można było zobaczyć całe rodziny przenoszące się z odległych osiedli do krewnych w Śródmieściu. Przypomniano sobie o zaletach starych, dobrych pieców węglowych...

4 stycznia najgorsza przyszłość rysowała się bez wątpienia przed bałucką elektrociepłownią. Jej młodsza koleżanka EC-4 po awarii, która wieczorem 30 grudnia 1978 r. wstrzymała na trzy noce i dwa dni dostawy ciepła do wielkich widzewskich osiedli, znów osiągnęła swoją dawną moc i miała w zapasie najwięcej węgla. Pełną parą pracowały również pozostałe ciepłownie: w EC-1 przystąpiono nawet do rozruchu wycofanego już z użytku kotła. Rezerwa węgla była w EC-1 wystarczająca na sześć dni.

Tymczasem energetycy z EC-3 z rosnącym niepokojem patrzyli na znikającą w oczach hałdę węgla. Koło zwałowarki dojeżdżało już do końca placu. Półtora, może dwa dni i nie będzie czym palić...

EC-3 ogrzewa największy fragment miasta: całe Bałuty oraz część Śródmieścia, a poza tym dostarcza pary technologicznej wielu łódzkim zakładom pracy. 4 stycznia 1979 r. właśnie EC-3 była najbardziej zagrożonym punktem w łódzkim systemie ciepłowniczym.

Parę minut po czternastej zjawiłem się w elektrociepłowni.

1.

Kłopoty EC-3 nie zaczęły się jednak dzisiaj czy wczoraj, choć trudne warunki atmosferyczne niewątpliwie zaostrzyły je, i wielu uszkodzeń można by uniknąć, gdyby nie śnieg, a zwłaszcza mróz.

Uniknąć by można zapewne pęknięcia rurociągu wody, która poprzedniego dnia zalała klatkę schodową jednego z budynków i wdarła się do rozdzielni PW. **„Ze względu na brak możliwości odcięcia wody od budynku nawęglania (zasypanie zasuwy śniegiem)** — przeczytałem w Dzienniku operacyjnym dyżurnych inżynierów ruchu — **zamknięto wodę gospodarczą na całym terenie zakładu i przystąpiono do likwidacji awarii".**

W czwartek, 4 stycznia nowe troski zaczęły się tuż po północy. Zerwał się łańcuch podajnika węgla przy kotle szóstym. Naprawa miała potrwać niemal całą dobę.

Pięć przed siedemnastą gaśnie inny kocioł. Przestaje dochodzić węgiel, ciśnienie uszkadza zawór i „wylatuje (oczywiście, nie dosłownie) cały trzeci blok. To właśnie wtedy okoliczni mieszkańcy usłyszeli huk i zobaczyli słup pary: nadmiar spalonych gazów został wypuszczony „na dach". Ponownie przyłączenie turbiny nastąpiło wieczorem. Towarzysząc przez pół dobry bałuckim ciepłownikom, obserwowałem kolejne fazy rozruchu bloku. Takie nagłe wypadnięcie turbiny nie jest zresztą czymś specjalnie egzotycznym w codziennym życiu elektrociepłowni.

O godz. 18.45 z pytaniem — **Czy wiecie coś o węglu?** wchodzi do dyżurki główny inżynier EC-3 **Zygmunt Karalus.** Odpowiada mu cisza.

Jego pytanie wywołuje jednak najważniejszy temat tej nocy. Nocy, która zamieni się w długie oczekiwanie na węgiel.

Czy dotrze do Łodzi marszruta wagonów wysłana 2 stycznia ze Śląska? Chodzą pogłoski, że transport utknął gdzieś pod Piotrkowem...

Próbuję dowiedzieć się, gdzie tkwią przyczyny niedostatku węgla. Czy tylko w tym, żeśmy się od srogich zim odzwyczaili, odwykli od robienia solidniejszych zapasów?

Jest faktem znanym, że nasza kolej nie nadąża w swym rozwoju za — szczególnie intensywnym w ostatnich latach — postępem w gospodarce. Przybyło nowych zakładów i fabryk, które znacznie obciążyły kolej. Nie wzrosły wszakże proporcjonalnie ilości wagonów, trakcji, czy szerzej: inwestycji kolejowych.

— **Już jesienią nie mamy rezerwy węgla na placu** — powiedziano mi w EC-3. — **W zeszłym roku wybraliśmy cały węgiel w październiku, pod koniec listopada mieliśmy zaledwie tygodniowy zapas. A kiedy na początku grudnia powinniśmy mieć 65 tysięcy ton węgla — taka bowiem jest pojemność placu — mieliśmy go raptem na trzy, cztery dni... Zimą jesteśmy zdani na doraźne dostawy. Bardzo to jest niepewne, bo nasza kolej „robi bokami" Braku wagonów nie da się niczym załatać...**

Fakt, który potwierdza się i z drugiej strony. Przeciętna elektrociepłownia spala 800—900 ton węgla na dobę EC-3 na przykład, który znów nie jest przecież takim wielkim zakładem, każdego dnia powinien opuszczać pociąg pełen odpadów, popiołu i żużla, co najmniej 20 węglarek. Ale rzadko kiedy systematycznie opuszcza. Tymczasem odpadów jest coraz więcej, bo coraz gorszy spala się węgiel. Zapopielenie węgla sięga często dwudziestu procent.

Kiedy byłem w EC-3, obowiązywał rygorystyczny zakaz wywożenia żużla i popiołów wagonami; węglarki przeznaczono wyłącznie do przewozu węgla. Czym jednak wywieźć 400 ton odpadów dziennie? Wywrotkami? 4 stycznia ciężarówki **łódzkiego Przedsiębiorstwa Sprzętu Budowlanego i Usług Transportu oraz Przedsiębiorstwa Transportu Budownictwa Wodno-Melioracyjnego z Konstantynowa** zrobiły 68 kursów. Popiołu z EC-3 nie da się jednak wywieźć samochodami chyba do końca zimy. Chociaż przynajmniej częściowo rozwiązałaby sytuację na miejscu wytwórnia prefabrykatów. Zdarza się jednak — niestety — że lokalizacja elektrociepłowni nie odpowiada resortowi budownictwa. Przykładem — właśnie EC-3.

4 stycznia 1979 r. wszyscy czekali na węgiel: od głównego inżyniera do szeregowca z pułku OTK, który wspomaga energetyków w najtrudniejszych chwilach. Ale sam węgiel nie pomoże, jeśli zabraknie mazutu. Na węglu „trójka" może pracować tylko wtedy, gdy temperatura powietrza jest wyższa niż plus dwa stopnie. Poniżej tej temperatury niezbędny jest mazut, z którego pochodzi aż sześćdziesiąt procent całej energii cieplnej wytwarzanej przez

Na bocznicy rozgrzewa się ostatnie cysterny z mazutem. Ich zarysy giną w obłokach pary. Inż. **Zygmunt Karalus** odczytuje poziom w zbiorniku mazutu: zostało sto ton. Wystarczy ledwie na dobę.

Jest jeszcze jeden niedostatek, który w tych trudnych dniach zaczął dawać się we znaki — tym razem wszystkim już — łódzkim elektrociepłowniom: brak wodoru potrzebnego do chłodzenia generatorów. Podobno w fabrykach wodoru pozamarzały sprężarki. O dziewiętnastej wróciły z Brzegu do Łodzi dwa wozy, lecz tylko w połowie pełne. W EC-3 natomiast wodoru akurat na dwa dni.

Inż. Karalus mówi wolnym, spokojnym głosem:

— **Podejmowane były interwencje już**

Dalszy ciąg na str. 6

Foto: W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI

BEZ WIELKIEGO SZARWARKU

Panowie, którzy wracali z balów sylwestrowych w remizach strażackich, byli tak rozgrzani i upojeni radością, iż nie odczuwali ataku dokuczliwego, siarczystego mrozu. Niektórzy najbardziej spragnieni szukali nawet zawieszonych na linkach w studniach baniek z mlekiem, bo im się pomyliły pory roku.

Konwie stały w mieszkaniach lub w sieniach ale z tych ostatnich nikt by się nie napił, ponieważ mleko zamarzło.

Najbardziej cierpiały wydekoltowane dziewczyny, gubiąc w śniegu balowe pantofelki, jako że na wsiach z remizy do domu bywa czasem po kilka kilometrów. Z niektórych remiz trudno było odwieźć muzykantów, wydawało się więc, iż zabawa może trwać dalej.

Ale okazało się, że wcale nie jest tak wesoło.

Rankiem drugiego stycznia nie ze wszystkich wsi można było odstawić mleko do zlewni i nie wszędzie mogło dotrzeć pogotowie ratunkowe.

Nie do wszystkich sklepów wiejskich dowieziono pieczywo, co w sytuacji, gdy na wsi zniknęły wszystkie piece do wypieku chleba, było sprawą równie drażliwą jak w mieście.

W Państwowym Gospodarstwie Ogrodniczym — Pabianice zabrakło węgla, śnieg nawiał do szklarni i przemarzły pewne odmiany kwiatów.

W Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Piątkowisku nastąpiło pęknięcie rury wodnej i zabrakło wody dla bydła, które trzeba było poić wiadrami.

Dyrektor PKS dzwonił do Zarządu Dróg z niepewnością i obawami, czy może puścić autobusy do najbardziej odległych miejscowości w gminie Pabianice. Gmina okala pierścieniem miasto, do którego zewsząd jest stosunkowo blisko (najdalej do Janowic na północy — 10 km i do Rydzyn na południu — 12 km), toteż obawy wydawały się śmieszne, ale zważywszy na półmetrową warstwę śniegu, pytanie było uzasadnione.

Tymczasem już w nocy, zanim w Urzędzie Gminy na mocy decyzji prezydenta miasta Łodzi zorganizowano całodobowe dyżury, dyrektor Śmiałkowski, szef pabianickiego oddziału Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Dróg i Mostów, pchnął do roboty wszystkie pługi i piaskarki. Operatorzy pracowali non stop przez dwie doby i w zasadzie już wieczorem trzeciego stycznia wszystkie drogi prowadzące do placówek handlowych i zlewni mleka we wsiach były przejezdne. Jeszcze wcześniej wyruszyły na trasy autobusy utrzymując przez cały czas komunikację pasażerską, chociaż nie z taką regularnością jak w normalnych warunkach.

Obyło się więc bez wielkiego, przymusowego szarwarku, ale ponieważ na wsi istnieje silna wspólnota interesów i konieczność wzajemnej pomocy, jak chociażby podczas natężenia prac żniwnych, i ta zbiorowa odpowiedzialność obowiązuje także w zimie, stąd też bez żadnych wezwań, nakazów i apelów ludzie z Bychlewa i Górki Pabianickiej wyszli gremialnie z łopatami i odśnieżyli kilka kilometrów dróg nie czekając na pługi, bo leżało to w ich wspólnym interesie.

Czwartego stycznia sytuacja na drogach została całkowicie opanowana. Dzięki technice. Ale technika również na wsi potrafi być „dokuczliwa", lecz o tym potem.

W tym samym dniu zlustrowałem ulice w mieście. Gruba warstwa rozjeżdżonego śniegu, który gdzieniegdzie usuwa łopatami ludność. Zasypane samochody na parkingach przed blokami, bez możliwości wyjazdu. Pełne pojemniki śmieci przywalone hałdami odpadków, których nie wywozi się od kilku dni.

Porównałem ten obraz ze stanem dróg na terenie gminy. Wiele z nich było lepiej oczyszczonych, niż niektóre ulice w mieście.

Jak to możliwe?

Otóż jeszcze drugiego stycznia naczelnik Mirosław Krata, jak na ojca gminy przystało, zabrał ze sobą sekretarza KG PZPR, wsiadł do milicyjnego gazika i objechał całe swoje rozległe włości. Stwierdził, że nie jest tak tragicznie, ale w każdej chwili może być gorzej, gdyż zima jest nieobliczalna i w ciągu doby zdolna jest ponowić swój groźny, nieustępliwy atak, dlatego też nie można liczyć wyłącznie na ofiarną pracę drogowców. Zmobilizował SKR i wszystkie spółdzielnie produkcyjne i państwowe gospodarstwa ogrodnicze, które wyruszyły na trasy z własnym sprzętem. W nocy z trzeciego na czwartego stycznia spadło trochę śniegu. W gabinecie naczelnika stała nadpalona świeczka po nocnym dyżurze, bo wyłączono światło, a naczelnik, który wczesnym rankiem był już w RSP w Ksawerowie i miał dyżurować do dziesiątej wieczorem, opieprzył kogoś z SKR przez słuchawkę.

— No to co, że pięć centymetrów śniegu? A jak znowu sypnie? Ten dodatkowy pług ma być gotowy i bez gadania! Przecież trzeba go tylko wzmocnić, do cholery, a wy się pieprzycie przez trzy dni! A póki co, proszę zwrócić się do dyrektora Klaty z PGO-Widzew. On ma pług na gąsienicach, niech go puszczą przez Gadkę Nową, bo dzisiaj tam jeszcze nie jeździli. Nieważne, czy tam jest pięć czy dwa centymetry śniegu! Ma być czysto!

Odłożywszy słuchawkę, powiedział:

— W Ksawerowie wszystko w porządku, w RSP również, bo prezes Adamczyk to bystry i zapobiegliwy facet. Pasze ma, opału pod dostatkiem, szklarniom nic nie grozi. Był jeden telefon z Ksawerowa, że się komuś śniegu do butów nasypało. Co oni myślą, do cholery, że śnieg z chodników pługi będą zgarniać? Ale na szczęście wyremontowaliśmy tam lokal, który dotąd zajmowała nauczycielka, i przed Sylwestrem otworzyliśmy w nim nowy punkt apteczny.

— Podobno Bychlew nie dostarczył mleka do mleczarni.

— Bychlew nie dostarczył? Pan wie, co powiedział dyrektor mleczarni? Że nie było dojazdu. A to jest droga wojewódzka, do Bełchatowa, i ona pierwsza była odśnieżona! Po prostu albo mleczarnia nie była zdolna przerobić mleka, albo w zlewni w Bychlewie zamarzło, bo zbyt późno zorientowali się, że zbiornik należy podgrzewać, i potem nie można było wyciągnąć mleka do cysterny. Trzeba robić tak, jak w Górce Pabianickiej, gdzie są duże obory. Tam wozak wjeżdżał do obory na chodnik, brał do konwi ciepłe mleko i wiózł szybko do zlewni, żeby nie zamarzło...

Ale nie wszędzie są duże obory i przy temperaturze —25 stopni w drodze do zlewni mleko może zamarznąć w konwiach. Trzeba ogromnego wysiłku, żeby mleko w dobrym stanie dotarło do konsumentów. Nie wszyscy potrafią docenić ten wysiłek. Bezmyślności i beztrosce konwojentów należy „zawdzięczać" to, że setki butelek rzuconych w pojemnikach przed sklepy o drugiej w nocy popękało i mleko nie nadawało się do użytku.

Ale sprawa mleka była jedynym incydentem w tych trudnych dniach, gdyż sytuacja z drugiego stycznia bardzo szybko uległa radykalnej zmianie.

Mówi sekretarz Biura Urzędu Gminy w Pabianicach, mgr J. Ziółkowski:

— Gmina powinna tworzyć silny organizm, mieć odpowiedni teren, dużo ludności i pieniędzy. Pabianice spełniają te warunki. Ludność przekroczyła 15 tys., budżet wynosi 20 milionów, fundusze na roczne wydatki 1.600 tys. zł. Myśmy w ub. roku wybudowali 15 km dróg asfaltowych, więcej niż w całym województwie miejskim. Jest czym operować, można sobie pozwolić na frontalne ataki, jedno zostawić, a robić drugie, z rozmachem, także w okresie zimy. Ale nie mamy odpowiednich partnerów w ościennych gminach, które dysponują małą ilością sprzętu i funduszem w granicach 350 tys. złotych. I dlatego na granicy z gminą Dobroń, gdzieś w okolicach Terenina, pod lasem, gdzie

Dalszy ciąg na str. 6

SŁAWOMIR DARZYCKI

TYDZIEŃ JAK MIESIĄC...

Kiedy właściwie zaczęli liczyć godziny? No, po tygodniu, jak już wszystko się uspokoiło, gdy uporano się ze śniegiem i mrozy trochę zelżały. Ale przez te siedem dni wszyscy pracowali ponad siły — kilkanaście osób zachorowało i trzeba było je zastąpić.

— Taki tydzień — mówią — to jak normalny miesiąc pracy. I dodają zaraz: ale i tak daliśmy radę...

Czytając doniesienia o zwalczaniu skutków gwałtownego ataku zimy, śledząc relacje z kopalń, elektrowni, hut i stacji kolejowych — zżywali się trochę, że o nich zupełnie zapomniano. Pewnie, bo kto tam będzie porównywał węgiel z mlekiem...

* * *

Już w drodze na sylwestrowe bale wielu pracowników Zakładów Mleczarskich przy ul. Omłotowej postanowiło wcześniej opuścić sale zabaw. W ostatni wieczór Starego Roku śnieg sypał z podziwu godną obfitością.

Ta przezorność ratowała ich w pierwszych chwilach. W niedzielę wczesnym rankiem zabrali się do odgarniania śniegu. Wiadomo było jednak, że to dopiero awangarda zimowych zapędów. Póki co, torowali drogę potężnym cysternom wracającym z terenu, pilnowali produkcji i przygotowywali się do wysyłania mleka i tzw. galanterii mlecznej na zaopatrzenie miasta.

W kotłowni palacze dokonywali cudów, żeby tylko zapewnić gorącą wodę, parę i ogrzewanie dla całego zakładu. Bez tego właściwie można by zamknąć wszystko na kłódkę i iść do domu. Pryzmy koksu zgromadzone na placu zamarzły na kamień. Jak palacze mogli z tego wyrąbać cokolwiek i wrzucić do pieców — pozostanie ich tajemnicą.

Dobrze, że wcześniej zgromadzono odpowiedni zapas mleka — w poniedziałek miasto otrzymało taką samą dostawę jak każdego innego dnia. Ale już koło południa zaczęły napływać sygnały, że nie we wszystkich dzielnicach zaopatrzenie zostało pokryte. Od razu rzucono dodatkowe ilości mleka, sera, twarożków smakowych i śmietany. Właśnie wtedy kierowcy ze Spółdzielni Transportu Wiejskiego (Oddział Transportu Mleczarskiego) zaczęli skarżyć się na zasypane drogi. To właśnie dlatego przyjeżdżali do sklepów później niż zwykle, to właśnie dlatego klienci niepotrzebnie zaczęli się denerwować oczekując w kolejkach.

W Zakładach Mleczarskich tymczasem zarządzono ostre pogotowie. Na kolejną zmianę magazynierzy ekspedycji nocnej przyszli wieczorem. Do tej pory bez żadnych przeszkód docierali do zakładu gdzieś około 2—3 nad ranem i rozpoczynali urzędowanie. Teraz mówią, że bali się najzwyczajniej, że mogli nie zdążyć — dlatego właśnie woleli przespać się na nadmuchiwanym materacu i nie martwić się o spóźnienie. **Stanisław Badowski, Maria Oręża k, Stanisław Różniatowski, Irena Tańska** — znani do tej pory z sumiennej pracy, nie zawiedli i tym razem. To właśnie oni pierwsi widzą cysterny z mlekiem przyjeżdżające z terenu. Wierzyć nie chcieli, że w taką zamieć kierowca dojeżdżał do zakładu kilkadziesiąt kilometrów od Łodzi i wracał z ładunkiem.

Władysław Kucejko pracuje w transporcie od 20 lat. Widać, że jest zmęczony — czerwone od niewyspania oczy i kilkudniowy zarost, to efekt morderczej pracy.

— Tyle lat siedzę za kierownicą — mówi — ale to ci dopiero była jazda. Często po kilkadziesiąt metrów jechało się zupełnie po omacku, nie było widać dosłownie nic. Człowiek zastanawiał się wtedy, czy jeszcze jest na drodze, czy już jedzie przez pole — a zatrzymać wozu nie można, bo jak się stanęło, to koniec.

— A pługi, odśnieżanie?

— E, panie. Co to za odśnieżanie. Na drodze z Lutomierska do Kwiatkowic to najstarsi ludzie chyba pługa do odgarniania śniegu na oczy nie widzieli. No, przynajmniej tej zimy. Zawiane wszystko było jak się patrzy! A znowu w piątek nie mogłem dla odmiany dojechać do Teresina. Jak wpadłem w zaspę, to zastanawiałem się tylko, jak dać znać do Łodzi, że nie przyjadę. Dwie godziny się namordowałem, ale w końcu wyjechałem! Zawróciłem i zabrałem mleko z Kołacina. Po ile godzin się jeździło w tamtym tygodniu? A tak gdzieś po 18—20 na dobę...

Tymczasem w Zakładach Mleczarskich do dyspozycji jest cała załoga. Dyrektor — **Stefan Świątek** zwraca się o pomoc do personelu biurowo-administracyjnego. Przychodzą wszyscy. Cztery dni przy maszynie pracował I sekretarz POP — **Anna Szarkowska, Marianna Czajka, Bożysława Latosińska, Honorata Pacocha i Krystyna Pchlińska.**

Rekordy biją też wózkarze: **Wiesław Adamczyk, Zenon Błoch, Henryk Palenceurz i Jan Świtas.** Bez przerwy odbierają z samochodów palety z pustymi butelkami, podwożą do myjni i potem dostarczają na rampy, skąd pojadą do miasta. Chuśtawka temperatur po drodze zwalić mogła z nóg najsilniejszych: minus 27 na dworze, plus 8 w hali i znów minus na zewnątrz. Wszystko do pokonania w ciągu kilku minut. Bez przerwy przez całe siedem dni.

Dalszy ciąg na str. 6

TYDZIEŃ JAK MIESIĄC...

Dalszy ciąg ze str. 5

Dochodzą znów niepokojące wieści z miasta: nie wracają w spodziewanych ilościach butelki od klientów. Ale to nie dlatego, że w kilku miejscach mleko zamarzło rozsadzając szkło. Jak zwykle w takich sytuacjach sklepy przeżywały prawdziwe oblężenie. Jeden z konwojentów opowiadał, że oczy przecierał ze zdumienia, kiedy jakiś staruszek zakupił na raz całą skrzynkę mleka, piętnaście słoików śmietany i chyba z pięć kilogramów sera...

Mało kto pomyślał o zwróceniu nawet pustych butelek. Oznaczało to sięgnięcie do zapasów szkła w Zakładzie. To z kolei powodowało dodatkowe operacje przy rozpakowywaniu oraz wielokrotnym myciu i dokładnym sprawdzaniu nowych butelek. Uszczuplono w związku z tym personel produkcji o kilka osób, i znów inni musieli wykonywać dodatkową pracę.

Władysław Kołaciński rozwozi „szafą" gotowe wyroby do sklepów. Od sprawności samochodu i jego umiejętności zależało zaopatrzenie kilkunastu sklepów.

— Jeszcze przy głównych ulicach — mówi — można było wytrzymać, jakoś zawsze się dojechało. Gorzej na osiedlach — drogi dojazdowe najczęściej zasypane, śnieg leżał nie tknięty i po kilka dni. Jak się nie denerwować, kiedy najpierw dzwonią, że nie mają towaru, a jak podjeżdżamy to nawet sklepu dobrze spod śniegu nie widać. Co było robić — braliśmy z kolegą skrzynki na plecy i nosiliśmy przez te zaspy. Tyle, że w końcu ubranie robiło się mokre i sztywniało na mrozie. Kroku nie można było zrobić.

Dyrektor Świątek: nikogo nie będę wyróżniał. Jak już pan siedział tutaj i zapisał sam jakieś nazwiska, to dobrze. Ja musiałbym wymienić blisko 700 osób, czyli z imienia i nazwiska całą załogę.

Każdego dnia w południe narada. Krótko, treściwie. Najpierw omówienie aktualnej sytuacji. Stan zapasów mleka, opału. Żadnego biadolenia i narzekania. Na pytanie kto może przyjść na dodatkową zmianę albo pozostać dłużej przy maszynach — zawsze podnosiło się kilkanaście rąk, zgłaszano kandydatury ludzi stojących przy maszynach. Aż nie wypada w tym miejscu wspominać, że byli to ludzie pracujący czasem po kilka dni bez przerwy!

Ratowała ich zakładowa stołówka — zresztą wybudowali ją sobie sami kilka miesięcy temu. Gorące posiłki na miejscu powalały przetrwać najgorszy okres.

Kryzys przyszedł na czwarty dzień. Wydawało się wtedy, że śnieg i mróz zwyciężą. Łopatami nic już nie można było zrobić. Wezwany na pomoc pług ślizgał się na lodzie. Wtedy naczelnicy Polesia i Bałut podesłali ciężki spychacz gąsienicowy z „Chemobudowy". Maszyna przez kilka godzin z największą trudnością oczyszczała teren — jak koło kotłowni kruszyła koks, to od wibracji o mało komin się nie zawalił. Są i tacy, którzy na własne oczy widzieli, że kołysał się na wszystkie strony. Jakby runął — to koniec. Tyle, że może wtedy podłączyli by ich do magistrali miejskiej, o co zabiegają bezskutecznie przez kilka lat.

Dyrektor Oddziału Transportu Mleczarskiego — **Jan Jackowski** o swoich kierowcach mówi, że z takimi ludźmi to przysłowiowe konie można by kraść. Mechanicy na warsztatach już nie wiadomo jak utrzymywali w sprawności cały tabor. Ciepłe posiłki i dodatkowe ubrania załatwiono ludziom „od ręki". Żeby zabezpieczyć się na każdą ewentualność, spisano od kierowców adresy i w razie potrzeby wysyłało się po nich samochody. Po pracy wszystkich odwożono do domów.

U dyrektora Świątka nowy kłopot: ktoś „pożyczył" sobie dwa wagony węgla. Żeby nie płacić osiowego i jak najprędzej wysłać puste węglarki na Śląsk, zdecydowano się zrzucić ładunek obok wagonów. Kiedy już zorganizowali transport okazało się, że niepotrzebnie jechali. I co z tego, że oddadzą w poniedziałek, kiedy tutaj opału zaczyna brakować.

Nie koniec na tym. Z Nowosolnej przychodzi wiadomość, że po wyłączeniu prądu zamarzło mleko w basenie. Teraz tam nie mogą już pracować, muszą czekać. I znów seria błyskawicznych telefonów, żeby coś zaradzić, żeby nie zatrzymywać zakładu z powodu braku surowca do przerobu.

W tej olbrzymiej pracy dzielnie pomagali uczniowie Technikum Przemysłu Spożywczego z ul. Praussa. Przychodzili do pracy każdego dnia. Nawet w wolną sobotę (a przecież to także nadprogramowe ferie zimowe!) spotkać można było kilkunastu uczniów jednego z liceów ogólnokształcących.

— Niech pan patrzy — mówi dyr. Świątek — jacy uparci. Powiedzieliśmy kiedyś, że pożyczymy im autokar na zimowisko w zamian za pomoc w trudniejszych sytuacjach. No i pomagają, nie zapomnieli...

* * *

W sobotę po południu wszyscy odetchnęli z ulgą. Przestało padać, rtęć w termometrach podskoczyła o kilka kresek w górę. Już się nie boją. Wygrali. Przez ponad 150 godzin bez przerwy pracowali po to, by na naszych stołach nie zabrakło mleka.

Nikomu przecież tłumaczyć nie trzeba, że jest ono tak potrzebne ludziom jak węgiel, prąd, ciepła woda i gorące kalocyfery.

SŁAWOMIR DARZYCKI

CZEKAJĄC NA WĘGIEL

Dalszy ciąg ze str. 5

na wszystkich chyba szczeblach o zapewnienie dostaw paliwa dla EC-3.

Cały zakład czeka na węgiel. Czy dotrze na czas?

Godz. 19.45 — dzwoni telefon: z Ministerstwa Energetyki... Po chwili inż. Karalus relacjonuje:

— Minister komunikacji obiecał, że pierwszy transport z węglem, który wjedzie na teren łódzkiej dyrekcji kolei, zostanie skierowany do EC-3...

2.

O godz. 19.45 kierownik oddziału turbinowego **Alojzy Ligier** oznajmia:

— Mocno wieje przez komorę klimatyzacyjną na czwartym bloku, zimno jest też w rejonie pomp olejowych, woda zamarza...

Mówiąc to inżynier zdejmuje kask i rozciera uszy. Odpowiedź może być tylko jedna: trzeba uszczelniać. Maszynom, które wytwarzają ciepło, trzeba go dać najwięcej. Idą w ruch maty, osłony, izolacja. Z zimnem nie ma żartów. Każda wybita szyba, nie domknięte drzwi — to groźba dla urządzeń i instalacji. Od zamrożenia aparatury pomiarowej do wygaśnięcia kotła niedaleko.

Godz. 19.47 — inż. Karalus łączy się z nastawnią. Rozmowa jest krótka:

— Ile atmosfer?
— Piętnaście.
— Ile palników?
— Trzy.
— Można czwarty zapalić. I szybciej jechać z ciśnieniem!

Kocioł, o którym mowa, nie daje jeszcze ciepła. Ruszył niedawno po wymianie zaworu. Rozpala się go mazutem. Można by ropą, która — acz trzy razy droższa — ogrzewa szybciej? — Może i nieoszczędnie, ale mazutu może zabraknąć? Szkoda tego mazutu, co jednak robić, jeśli przeznaczona na ten cel ropa... zamarzła? Przechowywana jest pod gołym niebem. W projekcie EC-3 zabrakło magazynu i jeszcze kilku innych rzeczy. Choćby porządnego zaplecza, motowozowni, garażów, warsztatów dla kotłowni, punktu naprawy aparatury pomiarowej, nie mówiąc już o niektórych urządzeniach socjalnych. Nie przewidziano na przykład żadnych pomieszczeń dla kierowników zmian, a pierwotny projekt (na szczęście poprawiony) przeznaczał na jednego pracownika... 0,6 metra kwadratowego szatni.

Hali turbin nie dzieli od kotłowni nawet cienka ściana! Hałas jest chyba większy niż powinien, a pył z kotłowni sypie się na precyzyjne turbiny. To najbardziej drastyczny efekt „oszczędności" projektantów. Wiele z tych „oszczędności" udało się poprawić w ciągu dziesięciu lat istnienia elektrociepłowni, ściany jednak nie dało się już postawić.

W projekcie EC—3 miała być zakładem czysto produkcyjnym. Nie ma tu księgowości, rachuby, zaopatrzenia, bo nie miało być. W rozpędzie zapomniano jednak również o kilku, ważniejszych sprawach.

3.

Do EC—3 trafiłem na przełomie zmian.

— Pracownicy EC—3 doceniają rolę, jaką zakład pełni w organizmie miasta — mówi inż. Karalus. — **Ludzie pracują z poświęceniem po 12 i 16 godzin bez przerwy. Mimo trudności komunikacyjnych docierają na czas nawet ci spoza Łodzi...**

Inżynier zaprasza mnie na swój ostatni dzisiaj obchód. To już jego piętnasta godzina pracy w zakładzie. O dwudziestej drugiej zmieni go kierownik produkcji **Czesław Mirowski,** który poszedł do domu o siedemnastej, a w pięć godzin później znów stawi się w pracy....

Godz. 20.15 — nareszcie konkretna wiadomość na temat węgla. Za czterdzieści minut wyruszy z Karsznic pociąg — numer składu: 41 795. Adres: EC—3.

— Jeżeli się pośpieszy, powinien być u nas o północy — głośno liczy inż. Karalus, a do słuchawki rzuca na pożegnanie: **— Czy do Płocka poszła dyspozycja w sprawie mazutu dla nas? Nie? To poproście! Przecież się nam, psiakrew, za dobę skończy!**

Godz. 20.35. Obchód zaczynamy od nastawni, gdzie operatorzy, czujnie wpatrzeni w mierniki i rejestratory, reagujący na każdy sygnał świetlny i dźwiękowy, mają przed oczami zawsze aktualny przegląd sytuacji. Ciśnienie rozgrzewanego kotła dochodzi do 30 atmosfer. Dalej kocioł rozgrzewać się będzie nie mazutem, a pyłem węglowym. Dopiero, gdy ciśnienie osiągnie 128 atmosfer, a temperatura pary 540 stopni, będzie można włączyć turbinę. Niedługo potem i z tego kotła popłynie do mieszkań gorąca woda.

Na zewnątrz budynku brygada ludzi odmraża pulpę — rurociąg transportujący żużel przemieszany z wodą. Ludzie proszą o zwolnienie: są zmęczeni po kilkunastu godzinach pracy, czekają na zmianę, która ma nadejść niebawem. Inżynier wodzi światłem latarki po rurociągu: zamarzła w nim szlaka. Zamarzł również tusz w moim długopisie. Temperatura — minus 23 stopnie.

Plac nawęglania. Kiedy podchodzimy do jednej ze zwałowarek, inżynier zauważa, że zatkał się lej, a węgiel wysypuje się z kosza. Plac jest słabo oświetlony, operator nie dostrzegł i dopiero na znak inżyniera zatrzymuje maszynę. Wyskakuje pomocnik, który zamiast stać przy tamie poszedł zagrzać się do kabiny; trudno się mu zresztą dziwić. Światło latarki wyławia z hałdy pełno zmarzniętych ciężkich brył. Każda z nich może spowodować przerwę w pracy, zatkać kosz przenośnika, a nawet zerwać taśmę. Jeżeli bryła taka dostanie się do zasobnika kotła, może uszkodzić łańcuch podajnika i na kilka godzin wyłączyć kocioł z ruchu. Taka właśnie awaria spotkała dzisiaj kocioł szósty.

Godz. 21.45. — dobry meldunek. Z rozgrzewanego kotła idzie już ciepło. Zgłasza się dyspozytor z **Zakładu Sieci Cieplnej,** który rozprowadza po miejskiej sieci ciepło ze wszystkich elektrociepłowni, regulując — w zależności od temperatury powietrza i siły oraz kierunku wiatru — temperaturę wyjściową wody w EC.

Inż. Karalus podaje aktualną temperaturę wody „na wyjściu": — 110 stopni i dodaje: **— Jeszcze dziesięć stopni i zaczniemy gasić jeden kocioł mazutowy. Odstawimy go do mycia. Trzeba oszczędzać paliwo.**

Godz. 21.47 — Mrużąc zaczerwienione oczy w czarnej od pyłu twarzy, spawacz z brygady remontowej **Zdzisław Tymosiak** melduje o zakończeniu naprawy silnika regulatora młynowego na kotle drugim. Dla Tymosiaka i jego kolegów była to szesnasta godzina pracy....

Godz. 22.00 — Inż. Karalus przystaje za biurkiem i paroma dyskretnymi, krótkimi ruchami ściera szczotką kurz z butów. Komunikat z Lublinka: temperatura spadła do minus dwudziestu pięciu stopni. Tej nocy niżej już nie będzie...

Godz. 22.07 — wchodzi inż. Mirowski, zmiennik szefa i nie zdjąwszy nawet płaszcza rzuca okiem na miernik mocy, a potem zasypuje Karalusa pytaniami. W chwilę po nim wpada dyspozytor oddziału nawęglania — **inż. Adam Irzykowski:**

— Wyszły dwie marszruty z węglem — mówi — **obie do Łodzi.**

— Tę drugą pewnie EC—2 weźmie — powiątpiewa Mirowski.

— Tak, ale oni mają na trzy dni węgla, a my na półtora! Sam minister „prowadzi" ten pociąg do EC—3!

Jest kwadrans po dwudziestej drugiej, gdy główny inżynier odbiera ostatni meldunek z nastawni:

— Temperatura w rozgrzewanym kotle 110 „na wyjściu", 55 „na powrocie".

— Nie grzejecie więcej? — pyta operatora — **Turbinę ruszyliście? Jeszcze nie?**

Inżynier odkłada słuchawkę i zwraca się do swojego następcy:

— Więc masz, Czesław, pierwsze zadanie: ruszyć turbinę.

4.

Pierwsze cztery godziny dyżuru inż. Mirowskiego spędziłem razem z nim „na produkcji". Spędziliśmy wiele czasu w nastawniach. Inżynier jest, zdaje się, z tych którzy lubią być wszędzie tam, gdzie się coś ważnego dzieje. Przy pulpitach sterowniczych wgląd w sytuację najlepszy. Sam inżynier tłumaczy to tak:

— Obsługa jest młoda, niedoświadczona, czasem lepiej jest samemu dopilnować. Operatorzy na ogół pracują krótko. Teraz po szkole i trzymiesięcznym przyuczeniu stawia się ludzi na tym stanowisku. Mistrzów i dyżurnych inżynierów ruchu też mamy młodych, dwaj przyszli tu prosto po studiach. Sam byłem przez 12 lat dyżurnym ruchu, zanim przeszedłem na zmianę. Uważam, że każdy pracownik elektrociepłowni powinien szkolić się „w ruchu", przynajmniej przez pięć lat. Studia są ważne, ale naprawdę liczy się praktyka...

Przy pulpicie trwa walka o utrzymanie gasnącego kotła. Znów wilgotny węgiel zapchał jeden ze zsypów. Zgłasza się grupa żołnierzy do przepychania i o godz. 23.30 zsyp zostaje „odkorkowany". Kocioł znów zaczyna normalnie pracować; niedługo podłączy się turbinę i ruszy ciepło.

Godz. 0.16 — Silny huk wstrząsa ścianami hali. Z kotłowni biją kłęby pary. Co się stało? — pytam inżyniera. — Jeszcze nie wie. Biegniemy do nastawni, a stamtąd do kotłowni. Dopływ pary już zamknięty, ale podłoga jeszcze drży. Patrzę w górę, skąd zakurzyło — w pomroce pyłu i pary niknie szczyt kotła.

Godz. 0.26 — Pierwsze wyjaśnienia. Przy rozpalaniu kotła raptownie podskoczyło ciśnienie i „zawiało" zawór, nim jeszcze zdążył się zamknąć. Z niego poszło to potężne dudnienie...

Zastępca kierownika oddziału kotłowego inż. **Skowroński** wspina się na strop kotła, aby sprawdzić stan zaworów.

Godz. 0.38 — Wraca inż. Skowroński. Sprężona para przecięła i rozerwała rurę rozruchową, którą z zaworu regulacyjnego wydostaje się na dach para. Prawdopodobnie rura musiała być zamarznięta.

Godz. 1.05 — Telefonuje **Wiesław Krochecki** — główny inżynier Zespołu Elektrociepłowni im. Lenina, pełniący na zmianę z dyrektorem naczelnym **inż. Zdzisławem Szydą** dwunastogodzinne dyżury. Inż. Krochecki wysłuchuje raportu i pyta, czy dotarł już węgiel.

Godz. 1.16 — Pociąg z węglem zbliża się do Łodzi — Olechowa. W samą porę, gdyż godzinę później inż. Irzykowski zameldował:

— Zwałowarka zbiera węgiel z ostatniej hałdy.

Godz. 3.25 — Pociąg jest już na Zabieńcu.

Godz. 3.50 — Mirowski do Irzykowskiego:

— Wstawiają już?
— Nie, robią wykazy.
— Ile to potrwa?
— Z godzinę.

Godz. 4.40 — Zimny tusz. Z całego składu, liczącego 36 węglarek, tylko 27 trafi na bocznicę EC—3. 9 nietypowych, bezdrzwiowych wagonów odłączono. Podobno jednak i wśród pozostałych są jeszcze jakieś nietypowe. Urządzenia na bocznicy EC—3 mogą rozładowywać tylko wagony z obustronnymi drzwiami.

Godz. 4.45 — Znowu wycie uciekającej pary. Inż. Mirowski za słuchawkę i do operatora:

— Przy jakim ciśnieniu otwiera pan ten zawór?

Z drugiego końca kabla płyną wyjaśnienia.

— To jak jest? — ucina dyskusję Mirowski. — **Turbina wami rządzi?...**

Godz. 5.02 — Za oknem rośnie temperatura: już „tylko" minus osiemnaście stopni. Wzrasta też „powrót": woda, która wraca do elektrociepłowni z sieci miejskiej, ma coraz wyższą temperaturę. Nic dziwnego, większość łodzian śpi.

Ale o szóstej łodzianie znowu gromadnie złapią za kurki.

Godz. 5.23 — Szef nawęglania inż. Irzykowski:

— Ale nas uraczyli! Z 27 węglarek jeszcze 15 trzeba odesłać....

Godz. 5.30 — Nie bez przyjemności patrzę, jak mechaniczne łapska zgarniają czarny miał i zsypują do dołów. Stąd taśmociągiem wędruje węgiel prosto do zasobników kotłów. Ludzie, którzy uwijają się z łopatami przy węglu, nie narzekają: węgiel przyszedł nawet niezbyt zmarznięty. Wyładunek posuwa się sprawnie.

TOMASZ SOLDENHOFF

BEZ WIELKIEGO SZARWARKU

Dalszy ciąg ze str. 5

drogi są złe, trochę musiało przysypać. Albo taki lesisty trójkąt między trasą do Bełchatowa i szosą Wadlew — Łask. Jest tam wiele wsi, w tym najmniej naszych, w zasadzie odciętych od świata, bo przez las prowadzi nie utwardzony trakt. Wspólnie można by pociągnąć, ale sami zrobimy 3,5 km, utkniemy w lesie i sprawy to nie załatwi. Ktoś mądry ustalił granice administracyjne wzdłuż dróg i ulic, tak jest z Klimkowizną, gdzie po drugiej stronie ulicy to już Chechło, albo z Lublinkiem, gdzie z jednej strony nasza wieś, z drugiej zaś już miasto Łódź. I w takiej sytuacji często brakuje gospodarza. My jednak robimy wszystko na własny rachunek i nie oglądamy się na nikogo. Jak idą pługi, to odśnieżają również na obcym terenie. Resztę wykonuje ludność, bo każdy z konieczności musi uprzątnąć śnieg we własnym obejściu i przed domem. Gdyby nawet zabrakło chleba, to upiecze się w piekarniku. Nie taki jak w sabatniku, ale zawsze... A starszym ludziom wiele spraw załatwią sąsiedzi, pomogą w zakupach, pożyczą węgla. Nam również zasypało urząd, daliśmy więc spokój paniom, mężczyźni wyszli z łopatami i po kłopotach. Pół metra śniegu to nie jest klęska żywiołowa, na konia z sankami to jest nic...

— Ale gdzie znaleźć na wsi sanki?

— To prawda, ale mamy za to wielkie ciągniki C-385, którymi dowieziemy chleb lub mleko nawet przez półmetrowy śnieg. Wieś zresztą mniej dotkliwie znosi ciężką zimę. Autobus np. lepiej „znosi" mróz i śnieg niż tramwaj. Jako pierwszy, w najtrudniejszym okresie, pełniłem dyżur i nie otrzymałem żadnej telefonicznej interwencji.

I to się wszystko zgadza.

W Piątkowisku własnym sumptem usunięto awarię i nie zdarzył się wypadek, aby trzeba było przerzucać brygady do innych przedsiębiorstw, gdyż lekkie usterki wszyscy naprawiają sami. Z żadnego gospodarstwa rolnego, państwowego lub spółdzielczego, nie było sygnału, żeby przerwa w dopływie prądu trwała tak długo, że zakłócałoby to pracę w obsłudze zwierząt hodowlanych. Rozmawiałem z kierownictwem tuczarni trzody chlewnej w Ksawerowie. Oświadczono mi, że nawalała kanalizacja, a światło było wyłączane między 8—10 i po 14, a więc już po zadaniu karmy.

Huta Janowska to typowy zapadły kąt. Przedstawicielka tamtejszej RSP powiedziała mi, co następuje.

— Może zabrzmi to paradoksalnie, ale wieś, zahartowana w ciągłym obcowaniu z przyrodą, przyjmuje atak zimy z mniejszymi komplikacjami. Kiedy nawali technika, na którą zdani są ludzie w mieście, oni cierpią najbardziej. A u nas wszystko w normie. Mamy pod dostatkiem paszy, zwierzęta są karmione bez zakłóceń, bo na szczęście prądu nam nie wyłączają. Regularnie otrzymujemy świeży chleb, tylko poczta nie dociera na czas, a korespondencję powinniśmy otrzymać codziennie. Traktorzyści pracują i akurat teraz odśnieżamy drogi własnym spychaczem...

Nie wymagajmy zbyt wiele od poczty, bo tam, gdzie przejdzie traktor i samochód, nie pojedzie rower i motorower i doręczyciele muszą dziesiątki kilometrów przebywać pieszo.

Jeśli sytuacja w podłódzkich PGR jest niezła, to w innych województwach nie bywa już tak dobrze. Niektóre PGR wykorzystały zapasy węgla do osuszenia ziarna w czasie mokrych żniw i z przyczyn od siebie niezależnych nie uzupełniły zapasów. Kiedy wyłącza się prąd, gospodarka zostaje unieruchomiona. I teraz dopiero można się przekonać, że podczas ataku zimy technika na wsi... dezorganizuje życie. Bo na przykład wyłączenie prądu na trzy godziny jeszcze nic nie znaczy, ale gdy przerwa potrwa dłużej i w gospodarstwie jest do wydojenia kilkaset krów, to wówczas zaczyna się tragedia.

Albo gdy w chlewni zadaje się karmę rurociągiem w obiegu zamkniętym i pasza musi być stale podgrzewana z elektrycznej parownicy. Albo te wszystkie elektryczne parniki, dojarki i hydrofory, które lubią pękać podczas mrozów. Albo fermy kurze, gdzie wyłączenie prądu grozi śmiercią tysiącom piskląt i młodych kurcząt. No, nie, to ostatnie, przynajmniej w gminie Pabianice, nikomu nie grozi, bo jak się zorientowałem, prywatni hodowcy przezornie zaopatrzyli się we własne agregaty spalinowe.

Doszły mnie informacje, że w Dłutowie (Piotrkowskie) i Dobroniu (Sieradzkie) dawał się zauważyć niedostatek węgla. I w tym miejscu na uwagę zasługuje znakomita operatywność pabianickiej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Otóż w ub. roku dochodziło do tego, że rolnicy z gmin Dłutów i Dobroń kontraktowali żywiec w Pabianicach, gdyż tutaj mogli otrzymywać węgiel. Pabianicka GS prowadzi bez przerwy punkt skupu przy Torowej i filię w Ksawerowie, posiada artykuły (na naftę i lampy jakoś nie ma zapotrzebowania) oraz nadal posiada zapasy węgla (w bryłach), który nie zamarza tak, jak „grysik" i miał.

— Dzięki temu — mówi Mirosław Krata — uratowaliśmy szklarnie PGO-Pabianice, pożyczając mu odpowiednią ilość opału. W ten sam sposób pomogliśmy pabianickiej „Stolarni", gdyż przeznaczony dla niej wagon węgla może utknąć gdzieś w drodze i może go przejąć, korzystając ze swoich uprawnień, któryś z wojewodów. PGO Widzew ma zapas mazutu na miesiąc, niektórzy ogrodnicy z Ksawerowa zgromadzili węgiel na trzy lata, gorzej jest z koksem. Rolnicy zaopatrzyli się w opał jesienią i nikt do GS nie przyjeżdża. Ale jeśli ktoś wypalił swoją pulę i ma małe dzieci, to mam mu nie sprzedać dodatkowej? Przecież to nie kradzież, on zapłaci. Trzeba być człowiekiem, a nie urzędnikiem owiniętym w papierki z przepisami, bo dzieci nie wolno mrozić...

W południe, czwartego stycznia, świeciło słońce, było kilkanaście stopni mrozu i w Gminie liczono na odwołanie dyżurów, ale wtedy właśnie popłynęły z radia komunikaty o nadciąganiu nowej fali mrozów. Naczelnik wystosował apel, w którym zwrócił się do wszystkich mieszkańców gminy z prośbą, aby włączyli się do akcji odśnieżania i porządkowania obejść. Nie był to więc rozkaz do stawienia się na znany przed laty szarwark, bo tym razem ludzi wyręczyły maszyny.

Ale należało się poważnie liczyć z konsekwencjami zapowiadanych mrozów, dochodzących do minus 35 stopni. Najbardziej mogły ucierpieć szklarnie w typowo ogrodniczym Ksawerowie. Trzeba było likwidować nieszczelności, obkładać obornikiem drzwi obór i rzucać słomę na stropy, aby utrzymać w pomieszczeniach odpowiednią temperaturę dla bydła, świń i najbardziej wrażliwych prosiąt.

Fala mrozu szczęśliwie nas ominęła i piątego stycznia w dzień notowano minus osiem stopni. W takiej temperaturze krowy mogły pić z automatycznych poideł, bo z tych urządzeń pobierają małe dawki wody, ale jeśli pojone są z wiader, piją na raz dużo, i w tym wypadku wodę trzeba ogrzewać. Tak samo zresztą należy ogrzewać kiszonki i okopowe i skarmiać je oszczędnie, nikt bowiem nie jest w stanie stwierdzić, czy nie przemarzły ziemniaki w kopcach, których wiele okryto zwyczajnie, tak jak na wypadek łagodnej zimy, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić.

Mróz zelżał, lecz zaczął padać śnieg. Nadal więc na właścicielach i zarządcach nieruchomości ciąży obowiązek usuwania śniegu z obejść, chodników i dróg położonych w pobliżu domów mieszkalnych i posypywanie ich piaskiem, a na wszystkich mieszkańcach obowiązek wyjątkowego oszczędzania energii elektrycznej.

Jest wieczór, piątego stycznia, prószy śnieg, dzieci ślizgają się przed blokami, dorośli przygotowują się do wolnej soboty, a po wiejskich drogach krążą pługi i spychacze, aby rano mogło do miasta dotrzeć mleko. Nie słychać komunikatów ostrzegawczych, z odbiorników radiowych płynie muzyka, ale w Urzędzie Gminy nadal trwa ostry dyżur...

RYSZARD BINKOWSKI

DALEKO I BLISKO PRAWDY

Nie lubię w ten sposób rozpoczynać recenzji, ale konia z rzędem temu, kto wytłumaczy sformułowanie redaktora reklamującego na obwolucie książkę Edwarda Hołdy „Ciszej dzwony". W myśl tej reklamy autor „odchodząc od faktografii, próbuje możliwości współczesnej balladv, opartej na pierwotnym a pełniejszym widzeniu wewnętrznym". Nie muszę chyba dodawać, że prozatorski debiut znanego poety przeczytałem wbrew a nawet przeciw, owemu dziwnemu zdaniu. I okazało się że widzenie autora „Ciszej dzwony" jest nie tyle pierwotne, co raczej poetyckie, nie tyle wewnętrzne, co raczej właśnie balladowe (z pewnymi nawet cechami gawędy). Ten typ prozy nie tak znów często można dziś u nas spotkać. Proza poetycka, dla której punktem wyjścia staje się reforma rolna i bratobójcza śmierć najgorętszego we wsi jej orędownika? Proza poetycka studiująca bardzo wnikliwie dzieje syna-pogrobowca, jego zamknięcie się w sobie, polegające na permanentnym utożsamianiu się z ojcem, na oglądaniu swego świata przez pryzmat jego pamięci? Proza poetycka o obyczajowości wiejskiej? To ostatnie łatwiej już zrozumieć współczesnemu czytelnikowi.

Wygodnie jest nieraz posłużyć się cytatem dla bardziej wnikliwego określenia recenzowanego utworu. W tym przypadku powiedzieć można, że książka Hołdy stara się wyjaśnić to wszystko, czego syn Piotra („Piotr Piotrów") nie mógł, mimo usilnych starań, zrozumieć. Chce wyjaśnić „wszystko, czego nie pojmował, czego nie rozumiał. Wszystko, co pojmował, niepojęciem, skoro nie było do pojęcia. Wszystko, co rozumiał nierozumieniem niczego, skoro tak się wszystko ze sobą zmieszało. I mieszało wciąż dalej, chociaż rozdzielało na osobności." Staje się więc ta proza subtelnym, wnikliwym, nade wszystko jednak poetyckim, studium dojrzewania wiejskiego chłopca, skazanego przez własny wybór oraz reakcje otoczenia, tego najbliższego i tego dalszego, na samotność. Na samotne wyjaśnianie rodzinnej przeszłości i samotne próby zrozumienia teraźniejszości. Na samotne poznawanie życia i uczenie się twardych jego praw.

Gdyby chcieć policzyć przedstawione w „Ciszej dzwony" zdarzenia — okazałoby się, że jest ich dosłownie kilka. Śmierć ojca, jego pogrzeb, nowy związek matki Piotra (nazywanej konsekwentnie tylko żoną ojca) z Młodszym Spaleńcem, seksualne inicjacje oraz konflikty z dokuczliwymi kolegami. Wokół nich narasta całe skomplikowanie Piotrowego świata. Służy temu konsekwentnie stosowana poetyka utworu: patetyczne, stylizowane jakby na współczesna „Pieśń nad pieśniami", środki wyrazu, wśród których niebagatelną rolę odgrywają zmieniające się za każdym razem powtórzenia — refreny o nowych, odmiennych układach znanych już czytelnikowi wydarzeń.

Książkę Edwarda Hołdy nazwać można ballada o poszukiwaniu prawdy. Jego bohater odnalazł w końcu swoją prawdę — stał się dojrzałym człowiekiem o sprecyzowanych w najważniejszych sprawach poglądach. Ale Hołda wie przecież, że „to jeszcze nie był koniec do końca. Bo jeszcze było daleko do takiej prawdy, która może oznaczać początek, jeśli każdy koniec jest zawsze dopiero początkiem, a prawda wymaga, aby ją wciąż dalej wypowiadać". „Ciszej dzwony" pokazują, jak człowiek może być daleko i blisko zarazem tej samej prawdy — prawdy życia. Jak odmiennie pojmują ludzie tę prawdę. Dla każdego przecież może ona oznaczać co innego, każdy może od niej odchodzić i powracać. Bo prawda w życiu ludzkim nie jest nigdy ostateczna. I należy ją ciągle szukać, nie tylko od święta przy dźwiękach dzwonów.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

E. Hołda, Ciszej dzwony, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, 119 s., nakład 20.000 plus 315 egz., cena 15 zł

POZYTYWIZM GALICYJSKI

Kiedy mowa o pozytywiźmie w Polsce, mamy zwykle na myśli tak zwany pozytywizm warszawski. Jemu to właśnie poświęca się od lat najwięcej uwagi. Wokół jego oceny toczyły się przed laty burzliwe, nie pozbawione emocjonalnego podkładu spory, dotyczące oceny miejsca tego nurtu kulturowego w naszych dziejach w drugiej połowie XIX stulecia. Jego to czołowe organy prasowe — z „Przeglądem Tygodniowym" na czele — oraz najwybitniejsi przedstawiciele — by wspomnieć tu tylko o Aleksandrze Świętochowskim — doczekali się dziesiątek studiów i monografii. Wciąż też — jak nie bez dozy zasadnego krytycyzmu powiada dziś krakowska badaczka Halina Kozłowska-Sabatowska — pozytywizm warszawski jest uważany za „niejako wzorcowy", bowiem urósł on „do symbolu w ogóle całego pozytywizmu na ziemiach polskich". „Obok jego bezspornych walorów i osiągnięć — kontynuuje autorka — dużą rolę w utrwaleniu takiej pozycji odegrała swoistą legenda jaką stworzyli wokół siebie młodzi z Królestwa". Dopiero od niedawna, za sprawą kilku badaczy poznańskich, nauka nasza poczęła odkrywać pozytywizm wielkopolski, który poczyna nam się rysować coraz bardziej interesująco, chociaż wiemy wciąż o nim bardzo niewiele, bo badania ledwo zostały rozpoczęte. Najgorzej jednak jest jak dotąd z pozytywizmem w Galicji; jest on wciąż — jak podkreśla wspomniana autorka — „zjawiskiem nie tylko prawie nie zbadanym, lecz ponadto zupełnie nie docenianym". Został niemal całkowicie przysłonięty przez pozytywizm warszawski, a przecież nie kto inny, jak uczony i świadek tamtych czasów, ściśle związany z tym ostatnim, mianowicie Piotr Chmielowski, zwracał już uwagę na przemiany zachodzące w Galicji, w szczególności zaś na „prekursorską rolę lwowskiego „Dziennika Literackiego" w propagowaniu teorii pozytywistycznych".

Zgadzam się z krakowską badaczką, że aktualny stan badań jest wysoce niezadowalający. Godzę się też z jej obserwacją, że do tego, że pozytywizm warszawski wysunął się na aż tak poczesne miejsce, że przysłonił wszystkie inne odłamy tego samego nurtu na ziemiach polskich, przyczyniła się ekspansywność i legendotwórcza aktywność grona dawnych warszawskich entuzjastów pozytywistycznych nowinek. Rzeczywiście, zadbali oni o to, aby ich działalność nie pokryła się pyłem niepamięci. Ogromną zasługę ma w tym względzie wspomniany już Piotr Chmielowski, ale nie bez znaczenia była także aktywność, innych, w szczególności Walerego Przyborowskiego, autora pięknych wspomnień o „starej" i „młodej" prasie. Wszakże zasługa niedocenienia roli pozytywizmu galicyjskiego przypada również w znacznej mierze — jeżeli nie przede wszystkim — samym Galicjanom. Nie skądinąd przecież, jak właśnie z Krakowa, sypały się pod koniec ubiegłego stulecia gromy na głowy pozytywistycznych autorów, jako rzekomych materialistów i ateuszy. Stąd to piorunowano na ową zdemoralizowaną młodzież, która zamiast przykładnie chadzać co niedzielę na kazania księdza Goliana, czytać „Czas" i potępiać wszystko, co nie pachniało ideologią stańczyków, hołdowała — również i we Wszechnicy Jagiellońskiej — różnym nowinkom. Jednym z najznakomitszych pogromców pozytywizmu, w tym również galicyjskiego, był sam Stanisław hr Tarnowski, jedna z najbardziej prominentnych postaci krakowskiej Akademii Umiejętności i pierwsza gwiazda krakowskiej polonistyki. Jemu to właśnie, jego współpracownikom, podwładnym i zwolennikom, zawdzięcza krakowska polonistyka ugruntowanie się owego schematu, według którego warszawskiemu nowinkarstwu — ocenianemu jak najbardziej krytycznie — przeciwstawiono zdrową, nawiązującą do najszczytniejszych narodowych tradycji, stojącą na straży ołtarza i tronu (Habsburgów), wymierzoną przeciw filozoficznemu i socjalnemu nowinkarstwu twórczość galicyjską z kart „Przeglądu Polskiego". Doszło to tego, że o pozytywiźmie w Galicji pisał życzliwie pozytywista warszawski, zaś Galicjanie, jeśli wspominali o swoich pozytywistach, to nader często po to, by ich wyśmiać, odstraszyć od nich ewentualnych zwolenników, zaniżyć ich znaczenie. W tej atmosferze trudno było dziwić się temu, że pozytywiści galicyjscy — odmiennie aniżeli warszawscy — nie stworzyli też wokół siebie legendy, która by przechowała w ludzkiej pamięci ich zmagania i wysiłki...

Do nielicznej, ale rosnącej wciąż liczby poważnych prac naukowych, poświęconych dziejom pozytywizmu w zaborze austriackim, dochodzi właśnie interesująca monografia pióra Haliny Kozłowskiej-Sabatowskiej, opatrzona tytułem: „Ideologia pozytywizmu galicyjskiego 1864—1881", wydana przez krakowski oddział PAN we wrocławskim Ossolineum (1978). Studium to wartościowe, poważne, oparte o solidny warsztat naukowy — rozszerza ono w znaczącej mierze naszą wiedzę o dziejach tego tak ważnego nurtu kulturowego i pozwala na postawienie nowych pytań badawczych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

„NOWY JORK NOWY JORK"

W music-hallu pod tym tytułem reżyser Martin Scorsese wraca do miasta, które było scenerią jego poprzedniego filmu, pamiętnego „Taksówkarza". Jednakże te dwa filmy oprócz miejsca akcji, Nowego Jorku właśnie i obsadzonego powtórnie w głównej roli doskonałego Roberta de Niro wszystko zdaje się dzielić. Tu pogodny, sentymentalny film muzyczny, tam ociekający obficie krwią dramat społeczny, tu historia nieodległa, bo z lat 40-tych, ale już zmitologizowana, tam jak najbardziej rzeczywista i dosadna współczesność, tu rytm bebopu i olśniewający głos Lizy Minelli, tam — odgłosy rewolwerowej masakry. Jednakże ta zmiana nie dziwi, jest logiczna, bowiem nowojorski taksówkarz Travis gotuje krwawą łaźnię sprawiedliwości w imię utraconego ładu społecznego, który odszedł bezpowrotnie w przeszłość. Stąd właśnie w „Nowym Jorku" zanurzenie w nostalgicznym klimacie czasu minionego, kiedy wszystko było dobre i proste. Porównanie tych dwóch filmów zrealizowanych przez jednego reżysera sugestywnie potwierdza rzeczywisty sens fali retro jako wyrazu tęsknoty do stanu utraconej niewinności. Ale filmowe retro jest zaledwie landrynkowym snem o wczorajszym, domniemanym raju, ukojenie, które przynosi jest złudne, a terapia, którą proponuje — jak każde chowanie głowy w piasek — bezskuteczna i jałowa.

Trudno mi pisać o „Nowym Jorku", bowiem nie należę do zwolenników music-hallu. Gatunek ten zrodzony na gruncie kina hollywoodzkiego w latach 30-tych jest ekspresją typowo amerykańskiego gustu lubującego się w bogatych, ale tandetnych efektach, w ckliwej nastrojowości i bezwstydnie banalnych fabułach. Arcydzieła — jeśli się zdarzają — stanowią wyjątki potwierdzające regułę. Znam zaledwie jeden — „Kabaret" Boba Fosse'a, w którym wykorzystano głupotę gatunkowego schematu do ujawnienia istotnych treści społeczno-politycznych. „Kabaret" powtórzył jak gdyby mechanizm „Operetki" Gombrowicza i nieprzypadkowo oba te utwory dotyczą faszyzmu. Ale to już zupełnie inny temat, bowiem „Nowy Jork" bynajmniej nie stwarza podniety do jakiejkolwiek refleksji.

Jest to absolutnie bezpretensjonalny film rozrywkowy, zrealizowany z nienaganną maestrią techniczno-warsztatową. Fabuła, która opowiada brzmi w streszczeniu tak idiotycznie, że warto ją przytoczyć. On — zdemobilizowany marynarz i saksofonista, ona również kombatantka z talentem piosenkarskim. Poznają się na tanecznym festynie ku czci zwycięstwa. Wkrótce pobierają się i pracują razem w zespole muzycznym. Ich sława rośnie, jednakże na drodze do dalszej kariery staje dziecko urodzone wbrew jego woli. Rozstanie. Ona robi oszałamiającą karierę estradowej gwiazdy, on również nie próżnuje i staje się sławnym saksofonistą. Po latach spotykają się już jako idole show-businessu i próbują zacząć wspólne życie od początku. Na próżno...

Jednakże w tej skrajnej stereotypowości fabuły jest metoda, charakterystyczna zresztą dla najbardziej popularnych gatunków kina amerykańskiego — także westernu i burleski. Polega ona na tym, że schemat fabuły jest w gruncie rzeczy nieistotny, bowiem najważniejszy jest filmowy żywioł, który go wypełnia. W burlesce i westernie — dynamika akcji, w music-hallu — muzyka i piosenka. W „Nowym Jorku" jest muzyka i jest piosenka. Muzyka to znakomity jazz w wykonaniu saksofonisty Georgie Auldа, a piosenki J. Kandera i F. Ebba śpiewane przez Lizę Minelli, zwłaszcza tytułowa, „You are my lucky star" i „But world goes round up" sięgają niedosiężnych szczytów estradowej perfekcji. Lecz nie one chyba decydują o rozrywkowej atrakcyjności tego filmu. I nie ich wykonawczyni, nie ujmując nic jej talentowi, jest głównym atutem tego filmu.

Gwoździem tego muzycznego programu jest genialny aktor Robert de Niro. To paradoks music-hallu ale tak jest naprawdę. „Nowy Jork, Nowy Jork" składa się z serii błyskotliwych etiud aktorskich de Niro przerywanych wokalnymi popisami jego znakomitej partnerki. Z tym, że recital aktorski przyćmiewa tutaj recital piosenkarski. De Niro objawia się naszym oczom jako aktor wszechstronny, niesłychanie dynamiczny i przewrotny, przechodzący w oka mgnieniu przez zmienną gamę nastrojów. Pierwsza sekwencja filmu na przykład, sekwencją miłosnego podboju staje się w wykonaniu de Niro niezapomnianym koncertem aktorskiej wirtuozerii. To aktor, który budzi fascynację samą swoją obecnością na ekranie, kolejny — po Dustinie Hoffmanie i Jacku Nicholsonie — fenomen filmu amerykańskiego.

Prawdę mówiąc, de Niro niejako tworząc ten film, ratuje go zarazem Choreograficzny i wokalny talent Lizy Minelli, aczkolwiek wyśmienity nie byłby w stanie nadać wystarczającego blasku tak błahej historyjce. Kiedy de Niro znika z ekranu film blednie, traci puls, pojawiają się dłużyzny, które składają się na odczucie pewnego znużenia aż 3-godzinnym spektaklem.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SEPARACJA OD ŻYCIA

Słowo „separacja" w pojęciu obiegowym kojarzy się z małżeństwem i jego rozkładem. Stąd może tytuł sztuki Toma Stepparda, zaprezentowanej nam przez Teatr Poniedziałkowy TVP, mógł być nieco mylący. Nie chodzi tu bowiem o separację od stołu i łoża. To byłaby pierwsza wstępna uwaga, nim dotknę sedna sprawy.

A druga byłaby ta. „Separację" w reżyserii Bogdana Augustyniaka nadano w telewizji zamiast zapowiadanego i rekomendowanego przez Naczelną Redakcję Widowisk Teatralnych „Balu manekinów" Brunona Jasieńskiego. Nie wiem jak inni telewidzowie, ale ja nie byłem początkowo zachwycony tą zmianą, u której źródła legły oszczędności energii elektrycznej (przedstawienie przygotowane przez Janusza Warmińskiego jest znacznie dłuższe i nie zmieściłoby się w granicach godziny 22, przyjętych czasowo za codzienny termin kończenia programu telewizyjnego). Ale pocieszyłem się szybko: „Bal manekinów" nas nie minie, a „Separacja" okazała się spektaklem niezmiernie interesującym, choć dalekim od wszelkiej erotyki.

We wstępie do widowiska usłyszałem informację, że zasadą dramaturgiczną Stopparda jest, by każda jego sztuka kryła jakąś pułapkę dla widza. Nie jestem przekonany, czy w przypadku „Separacji" w pełni się to Stoppardowi udało. Pułapką i to pułapką, w którą dałem się wciągnąć z rozkoszą była kreacja Gustawa Holoubka.

Wróćmy jednak jeszcze do pułapki zastawionej na nas przez autora. Jakiś zmęczony życiem, może nawet gruntownie do niego rozczarowany człowiek zjawia się w prywatnej klinice i każe się hospitalizować, choć jak przyznaje nie jest wcale chory. Dość typowe dla współczesnej literatury zachodniej jest przy tym całkowite przemilczenie społecznych uwarunkowań, w jakich rozgrywa się akcja. Nic prawie nie wiemy o bohaterze, o jego dotychczasowym życiu i motywach dziwacznego postępowania. Trochę odsłoni nam rąbka tajemnicy lekarz i przełożona pielęgniarek, którzy z konsekwencją policyjnych szpicli usiłują dowiedzieć się czegoś o niewygodnym pensjonariuszu (bo trudno nazwać pacjentem kogoś, kto nie jest chory, ani nawet nie chce poddać się obserwacji która usprawiedliwiłaby jego przebywanie w klinice), ale bardzo tych informacji niewiele.

Zaryzykowałbym taką diagnozę, że użyję określenia ze sfery medycznej: pan Brown traktuje cały świat jako chory. Jedynym więc miejscem azylu dla człowieka zdrowego może być właśnie szpital. Czy to wystarczy, by zbudować na tym fundamencie cały spektakl teatralny? Mam niejakie wątpliwości, odpowiedziałbym wszakże jednoznacznie, gdybym sztukę Stopparda zobaczył z przeciętnie poprawnym aktorem w roli Browna. Obawiam się, że „Separację" grać można, nie powodując znudzenia widzów, gdy Browna odtwarza ktoś tak znakomity jak Holoubek.

Przed jakimi trudnościami stanął nasz znakomity aktor? Filozoficzne przesłanie sztuki jest dość wątłe. Przebąkuje jakby coś na temat alienacji człowieka w świecie współczesnym, ale robi to bardzo nieklarownie. Informacji o samym bohaterze autor dostarcza, jak już mówiłem, bardzo mało. Nawet przyjaźń z małą pielęgniareczką wolna jest od wszelkich aspektów seksualnych. Jakże enigmatyczny więc w sumie materiał dla aktora do stworzenia pełnej postaci!

Zadanie dla przeciętnego aktora byłoby więc trudne, prawie niewykonalne. Stoppard stworzył pułapkę przede wszystkim właśnie dla wykonawcy. Ale nie dla Holoubka! Od wielu lat oglądam tego aktora na ekranach filmowych i telewizyjnych, jak również „na żywo" na scenie, i wciąż nie mogę do końca rozwiązać zagadki, na czym polega wielkość jego sztuki. To pewne, że w małym stopniu przeobraża się z roli na rolę. Zewnętrznie pozostaje jakby stale ten sam, niemal prywatny. A przecież...

Właśnie! Tyle głębokiej wrażliwości, tyle mądrości życiowej i tyle umiejętności jej filozoficznej interpretacji obrało sobie siedlisko w tym człowieku, że w czarodziejski sposób potrafi obdzielić z nawiązką wszystkie role, jakich się podejmuje. Nasyca je sobą, a jednocześnie wchłania w siebie, czy przepuszcza jakby przez siebie wszystkie niesione przez nie treści.

W przypadku Stopparda i jego „Separacji" Holoubek potrafił rozegrać całą partię sobą, swoją osobą, nadając panu Brownowi wielowymiarową osobowość. Może zdarzy się, że Stoppard będzie miał okazję obejrzeć Holoubka z taśmy magnetowidu. Wydaje mi się, że powinien odczuć wówczas głęboką wdzięczność dla aktora, który tak wspaniały użytek zdołał zrobić z jego tekstu.

Jest w Brownie Holoubka ledwie wyczuwalny, a przecież czytelny obraz groźnego świata, od którego bohater bierze separację jest upór i konsekwencja, z jaką Brown realizuje swoją decyzję. Na tej jednej właściwie strunie aktor zagrał nam koncert obfitujący w wiedzę o człowieku, o jego upadkach i niebezpieczeństwach, jakie nań czyhają.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TO BYŁO WCZORAJ

Dalszy ciąg ze str. 2

powieści, którego portret kreśliłem wedle niewyraźnej fotografii, zamieszczonej w jednej z książek, jest taki sam, jak ów z życia. Wydaje mi się, że osobiście znałem Jaszę; że z nim rozmawiałem; że razem z nim przebywałem w schronieniu i długie noce przegadaliśmy o wojnie. Mój powieściowy narrator powiada: „Pierwszy raz spotkałem się z żołnierzem radzieckim w październiku, po naszej wrześniowej wojnie. Ale wracałem już do domu, żołnierzy widziałem, że tak powiem, przez okno. A teraz los zetknął mnie bezpośrednio z jednym z nich. Były to straszne chwile, ale wspominam Jaszę z rozrzewnieniem. Jasza wypytywał mnie o naszą wieś. Interesowało go wszystko. Pamiętam, czasem — jest noc, świerszcze cykają, księżyc przedziera się przez drzewa, my z Jaszą leżymy na słomie, Jasza pali samosiejkę i snuje różne opowieści. Staramy się odgadnąć, jak długo potrwa wojna. Nasi zaczynają już ich gonić — powiada Jasza — już Fryce uciekają. Ale jesteśmy jeszcze w kotle — mówię. Opowiedziałem Jaszy historię ludzi, którzy zginęli..."

Przeglądam stare zapisy z tamtych lat. Oto jeden z pierwszych moich reportaży po wojnie „Krzyże Janiny". wydrukowany w piśmie „Wieś" i następnie w „Almanachu literackim Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich" w 1947 roku. Kiedy pisałem „Krzyże", wydawała mi się ta relacja zbyt sucha. Dziś w mroźnym styczniu 1979 roku, kiedy minęła kolejna rocznica wyzwolenia, te oszczędne, pozbawione komentarza autorskiego notatki nabierają życia. Przed oczami znowu stają tamte obrazy. Oto przypomina się wczesny poranek, słońce zapowiada pogodę, bohaterka reportażu, krząta się po oborze, jej mąż leży w łóżku. Ten fragment ma tytuł „Ranek Połetka" „Za oknami słychać tupot butów, matka spojrzała, „Matko Boska, Niemcy!" „Dzieci chowajcie się, łapanka!" — woła ojciec. Żandarmi wchodzą, kiedy syn był już na drabinie. „Połetek Jan, agronom, wstawać, ubierać się". Za chwilę płacz i krzyki, dzieci już się nie chowają, dom jest obstawiony żandarmami. „Prędzej, prędzej!". Matka wiesza się ojcu na szyję, mała Nastka całuje go po rękach, żołnierz uderza kolbą Jana Połetka. Otoczony bagnetami idzie na punkt zborny w Janinie. Już czekają na niego Jan Janeczek, Władysław Wojtacha, Andrzej Piasecki, Stefan Graca, ksiądz Marian Pankowski. Połetkowa krzyczy: „Dlaczego nie wyjrzałam na drogę" „Mamusiu, uspokój się" — mówi Mila".

A oto inny fragment zatytułowany „Zapłata": Jest czerwiec. Siny ranek. Znad łąk płyną mgły. Bugaj śpi, okna otulone w przedranny mrok. W te mgły wchodzi Stanisław Rusiecki. Budzi się dzień, noc przeszła spokojnie, z niedalekiej Janiny nie słychać szczekania psów. Jest spokój, cisza. Dziś będzie dzień pracowity, dom czeka na swego gospodarza. „Halt! halt!", ostre głosy przecinają ranek, „halt!" pada strzał i Rusiecki obejmuje ziemię w ostatnim uścisku. „Bandit, bandit", okute buty kopią bezwładne ciało. W domu w Janinie matka budzi najstarszą córkę — idź na Bugaj, powiedz ojcu, że spokojnie".

W słowie „od autora" do cytowanej tutaj powieści „Dziadek i Róża" napisałem, że pierwsza myśl o tej książce narodziła się pod wpływem wzmianki znalezionej w jednym z opracowań o roku 1905. Mowa tam była o nauczycielce wiejskiej Janinie Bronisławie Wieczorek, która buntowała dzieci chłopskie przeciwko porządkowi carskiemu, namawiała ich do walki o wprowadzenie języka polskiego do szkół. Powieść ukazała się w 1968 roku. Myślę teraz, że jednak pierwsze myśli o książce, a może i sam konspekt powieści powstały w roku 1945, kiedy to pisałem „Krzyże Janiny". Bo zarówno reportaż jak i powieść mówią o tym samym, przedstawiają historię ludzi, których wiązało pokrewieństwo, przyjaźń i konspiracja w czasie ostatniej wojny. Miała to być kronika jednej wsi. Lecz takich wsi było w owym czasie w Polsce tysiące. Ta jedna historia pomnożona przez tysiące miała dać dopiero obraz tego, co działo się wówczas w naszej ojczyźnie. Oczywiście, obraz niepełny.

Myślę też, że nie mają racji ci czytelnicy, którzy powiadają, że dość już we współczesnej literaturze tematów wojennych. Właśnie, że nie dość. Nie chodzi o samą wojnę, o niezdrową sensację, a o przedstawienie losów człowieka, uwikłanego w różne konflikty i niepokoje, niebezpieczeństw fizycznych i moralnych, jakie wojna zasiewa. Chodzi o takie przypomnienia, które by nas moralnie umacniały i jednoczyły w staraniach codziennych o pokojowe życie. Niechże obrazy z przeszłości będą naszą przestrogą.

TADEUSZ PAPIER

Foto: Archiwum

JAN BĄBIŃSKI

„NANYANG" — ZAMORSKIE IMPERIUM

Gdzie mieszkają Chińczycy? Już więcej sensu by miało pytanie — gdzie Chińczycy nie mieszkają. Bo są wszędzie. Nie ma już niemal kraju na tym globie, gdzie by nie odczuwano chińskiej obecności. Poza granicami kraju znajduje się obecnie 23 miliony Chińczyków. W Chinach nazywa się ich hua ch'iao, chińskimi wychodźcami, którzy opuścili rodzinne strony w poszukiwaniu szczęścia w szerokim świecie. Wszyscy oni wyjechali z nadzieją w sercu, że jeszcze powrócą. Jak każdy bogobojny Żyd woła podczas „Paschy" — „W przyszłym roku już w Jerozolimie", tak każdy Chińczyk, gdziekolwiek się znajduje, woła w głębi swej duszy — jeszcze wrócę, jeszcze dotknę stopami chińskich brzegów, po chińskiej jeszcze będę stąpać ziemi. To oczywiście marzenia, które są często pobożnym jedynie życzeniem.

Ale przenoszone z pokolenia na pokolenie wciąż są żywe we wszystkich większych chińskich skupiskach, rozrzuconych po wszystkich kontynentach. W latach 1949—1966 blisko pół miliona dawnych wychodźców nawet do Chin powróciło. I to na stałe. Wielu odwiedza rodziny w Pekinie i Szanghaju, bądź przysyła krewnym paczki i walutę. Oblicza się, że wartość tych przesyłek przekracza miliard dolarów rocznie.

Chińczycy są wszędzie

Ciekawe dane opublikował swego czasu amerykański „Time" w wielostronicowym „Special Raport". Tygodnik wspomina o „Overseas Chinese empire", o zamorskim imperium chińskim. To „Nanyang" dosłownie południowy ocean, więc wszystkie te lądy i wyspy rozłożone na południe od Chin. Chińską obecność wyczuwa się tam na każdym kroku. Majątek osiedlonych tu Chińczyków obliczany jest na 60 miliardów dolarów. Chińskie twierdze w tym rejonie to Hong-kong i Singapur.

W Azji

W samym Hong-kongu mieszka przeszło 4 miliony Chińczyków. Spośród 2 milionów mieszkańców Singapuru półtora miliona to również Chińczycy. Singapur stanowi zresztą swoistą oazę dobrobytu w tym rejonie. Roczny dochód narodowy w przeliczeniu na głowę ludności przekroczył tu już 2600 dolarów i jest wyższy dla przykładu niż w Grecji, Portugalii, czy Irlandii. Sami Chińczycy spoglądają na Singapur z niechęcią. Twierdzą, że to miasto zbyt się zeuropeizowało. To najmłodsze pokolenie odwraca się od chińskich tradycji. Owe rodzinne ołtarze, symbol niejako tej prawdziwie „chińskiej chińskości", w większości domów Singapuru poznikały.

Za Singapurem rozciąga się Malezja licząca 12 milionów ludności. Prawie 4 miliony spośród nich to Chińczycy. Na ogół sądzi się, że gdzie Chińczyk tam dostatek i niezależność finansowa. Uderzającym tego przykładem, że to baśnie i bajeczki, jest Malezja. W Kuala Lumpur roi się rzeczywiście od chińskich nuworyszów, którzy pokazują się na ulicach w „rolls-roysach", utrzymują chmary kochanek i ryzykują milionami w nocnych kasynach gier hazardowych. Ale co trzeci Chińczyk w tymże Kuala Lumpur zarabia w ciągu całego roku mniej ni 90 dolarów.

Obok, w Indonezji, mieszka aktualnie 3 miliony Chińczyków. Wielu z nich zmieniło nazwiska, by niczym miejscowej ludności nie razić. Większość jednak żyje tu w charakterze bezpaństwowców w oczekiwaniu na przyznanie im indonezyjskiego obywatelstwa. Są niekiedy dyskryminowani. Bywali w przeszłości prześladowani. Stanowią warstwę finansowo w Indonezji najbardziej wpływową. Wzbudzają więc niechęć i wzbudzają zawiść. Najbogatsi spośród Chińczyków cieszą się opieką osobistości postawionych w państwie najwyżej. Określa się ich jako „cukong". Spełniają rolę jaką spełniali w średniowieczu żydowscy bankierzy na dworach książęcych w Europie. Dostarczają kapitału! Oczywiście na procent.

Spośród pół miliona Chińczyków, którzy zamieszkują Filipiny większość to kupcy, w ogóle ludzie interesów. Prawie wszystkim wiedzie się nieźle.

Zarówno w Manili, Dżakarcie, jak w Kuala Lumpur, co bardziej elastycznie do świata nastawieni Chińczycy usiłują przystosować się do miejscowych warunków. Robią na co ich stać, by najmniej w otoczeniu razić i niczym szczególnym się nie wyróżniać. Problem wielce jednak jest powikłany. Ostatecznie Chińczyk to Chińczyk, starczy spojrzeć i od razu wiadomo kto jest kim. Jeszcze nie spotkało się przecież Chińczyka, który byłby Murzynem. Chińczyk za żonę bierze Chinkę. Wszędzie tak czyni. Jedynie w Tajlandii Chińczycy od tej reguły dość często odstępują i mieszane małżeństwa wcale tu do rzadkości nie należą. Uczeni w piśmie twierdzą, że dzieje się tak wskutek bliskiego dość pokrewieństwa Chińczyków z ludem Lao wyznającym buddyzm.

Nawet w Japonii

Nawet w Japonii nie brak Chińczyków. Nie jest ich tam wielu, zawsze jednak 50 tysięcy doliczyć się można. Zresztą chińsko-japońskie powiązania sięgają czasów zamierzchłych. To z Chin Japończycy zaimportowali pismo, buddyzm, sztukę i architekturę, tak jak z Europy i Ameryki zaimportowali naukę i technikę. Przeszło 50 tysięcy Chińczyków osiedliło się po ostatniej wojnie w Australii, 12 tysięcy w Nowej Zelandii. Większość z nich żyje dostatnio. Jest to o tyle interesujące, że Australia długo się broniła przed „żółtym zalewem". Nie tak dawno minister do spraw imigracji Arthur Caldwell zauważył nie bez sarkazmu, że „nawet dwóch Chińczyków to jeszcze nie jeden biały". Zmieniło się. Te bariery ostatnio nieco obniżono.

W Ameryce

Chińskie zioła, chińskie pagody, chińska herbata, chiński tusz, chińskie jedwabie, chińskie latarnie, chińskie smoki i chińskie cienie. A jeszcze chiński mur, chińskie ogrody, chińskie ceremonie, chińska laka, chińska porcelana, chińskie zawijasy, w ogóle chińszczyzna. Przez całe pokolenia Chińczyków w Stanach Zjednoczonych nienawidzono, prześladowano i tępiono. W 1880 roku Kongres uchwalił osławiony „Chinese Excdusion Act", który zamykał bramy Ameryki przed chińską imigracją. Wówczas to A. H. Smith tak opisywał Chińczyków w dziele pt. „Chinese Charakteristics".

„Najbardziej zdumiewającą cechą chińskiego umysłu jest całkowita obojętność wobec spraw duszy i spraw ducha. Chińczyk z łatwością może sobie wyobrazić ciało bez duszy, duszę bez ciała, a ducha bez życia. Dla niego może istnieć Kosmos bez celu i wszechświat bez Boga. Najgłębsze wartości ludzkiego ducha są Chińczykowi obojętne".

E. J. Dingle w książce „Acro" China on Foot" pisał:

„Chińczycy zawsze odczuwali i wciąż odczuwają wstrętną i zastanawiającą rozkosz w obserwowaniu agonii umierających".

A Bret Harte wyłożył po prostu kawę na ławę:

„Rujnuje nas tania chińska siła robocza".

Chińczycy wycofali się w Ameryce do szczelnie wyizolowanych gett. Zamknęli się. Odgrodzili od całej reszty amerykańskiej społeczności. Słynne dziś jeszcze „Chinatowns" wyrosły w Los Angeles, San Francisco, Portland, w Nowym Jorku i w Bostonie. Jeszcze z początkiem tego wieku te getta stanowiły wyizolowane jakby państewka, znajdujące się poza zasięgiem lokalnych władz i lokalnej policji. Tymi gettami zarządzały tajne organizacje, rodzaj chińskich mafii, które zresztą utrzymują się w podziemiu po dziś dzień. Obecnie w Nowym Jorku i San Francisco mieszka 140 tysięcy Chińczyków. Mniej więcej 20 tysięcy Chińczyków przybywa co roku do Stanów z Indonezji, Filipin i Tajwanu.

Losy

Nie, to nie tak. Daleko nie wszyscy Chińczycy porobili majątki w dalekich krajach i doszli wysokich godności. Wielu jest na górze, to prawda, ale wielu jest na dole. Problemem staje się w chińskich dzielnicach gangsterstwo. W samym Nowym Jorku operuje kilka mafijnych organizacji, specjalizujących się w szantażu i handlu narkotykami. Gangsteryzm z jednej strony — wielkie banki i handel na stronie drugiej. A pośrodku liczna elita intelektualna. Dość wspomnieć, że w ostatnich latach trzech Amerykanów chińskiego pochodzenia zdobyło nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. To Chen-ning Yang, Tsung-dao Lee oraz Samuel Ting.

Korespondent „Time" uznał, że typową karierę zrobił w Stanach Zjednoczonych Raymund Wu, który przybył z Chin do Ameryki w 1955 roku. Początkowo Wu pracował w towarzystwach ubezpieczeniowych na podrzędnych stanowiskach. Przez lata całe był akwizytorem, który chodził od mieszkania do mieszkania i podsuwał klientom polisy do podpisania. Z czasem Wu się wybił. Z czasem założył własny interes. Dziś to milioner o rozgałęzionych koneksjach. Mieszka w willi, obwieszonej chińskimi malowidłami, pełnej chińskiej porcelany i wyrobów z chińskiej laki. Na honorowym miejscu wiszą w bawialnym pokoju długie chińskie sentencje wykaligrafowane na jedwabiu ręką przewodniczącego Mao. Dwie swoje córki wysłał milioner Wu do Tajwanu, aby wyuczyły się tam poprawnej chińszczyzny i przyswoiły chiński sposób bycia. Bo Chińczyk jest Chińczykiem i gdziekolwiek się znajdzie zawsze Chińczykiem zostanie.

Chiczycy są jednym z tych nielicznych już dziś w świecie narodów, które nie asymilują się nigdy. Gdziekolwiek się znajdą żyją wśród swoich i nigdy więzów z Chinami nie zrywają. Powiada się, że to prześladowania zagnały Chińczyków do gett, do „Chinatowns" właśnie. To prawda. Ale to niepełna prawda. Bo w Europie nigdy właściwie nikt Chińczyków nie dyskryminował. Tolerowano ich. Być może nawet szanowano. Był taki czas w dziejach tego kontynentu, że do dobrego należało tonu mieć w dobrych rodzinach choć jeden salon całkowicie wystrojony na chińską właśnie modłę. Europa kiedyś pasjonowała się Chinami. Wszystko co chińskie uważano niegdyś za oscylujące w górnych rejonach tej największej sztuki. A jednak i w Europie Chińczycy potworzyli getta.

W Anglii

Już tak jest, że Chińczyk najlepiej się wówczas czuje, gdy słyszy chiński język i widzi same chińskie twarze. Chińczyk jest wtedy sobą, jest wesoły, uprzejmy i rozluźniony. Czuje się naprawdę w domu. Oblicza się, że w całej Europie mieszka obecnie 200 tysięcy Chińczyków. Najwięcej jest ich w Anglii i w Holandii. Głównie mieszkają w Londynie i w Amsterdamie. Mówi się Londyn, ale tak naprawdę, to Chińczycy mieszkają jedynie na kilku przylegających do siebie ulicach w dzielnicy Soho. Pełno tu chińskich kafejek, chińskich restauracji, chińskich klubów, chińskich sklepów, chińskich domów gry i chińskich nocnych lokali.

W chińskich domach gry i w chińskich lokalach rozrywkowych siedzą sami Chińczycy. Pamiętam. Sam widziałem. Włóczyłem się którejś nocy po tych wąskich ulicach między Carnaby Street i Shaftesbury Avenue. Rozświetlone neonami kluby. A za firankami oni. Chińczycy. Jeden przy drugim. Przy wąskich stolikach. Wpatrzeni nieruchowym wzrokiem w opustoszałą o tej porze ulicę. Zatopieni w niekończące się dyskusje. Lub grający w dziwne i niepojętne dla mnie gry hazardowe, przypominające ruletkę. Gdy tak grają, lepiej na nich nie patrzeć. Lepiej im zejść z drogi. Lepiej udać, że się niczego nie widzi. Są wtedy napięci, zdenerwowani i śladu nie ma wówczas na ich twarzach chińskiego uśmiechu.

— **To mafia** — ostrzegali mnie londyńscy Polacy.

W Holandii

Albo Amsterdam, drugie po Londynie największe skupisko Chińczyków w Europie. Śladu dyskryminacji. Wręcz przeciwnie. Holendrzy, kupcy przecież zawołani, czują do Chińczyków coś na kształt sympatii. Japończycy i dziś jeszcze mówią:

— Gdzie Holender przejdzie, tam już nawet trawa nie wyrośnie.

Ale równie bezwzględni w kupieckich interesach byli od wieków Chińczycy. No cóż, handel to handel, w handlu sentymentem daleko się nie zajedzie. W silnej konkurencji silny się przepchnie, słaby odpadnie. Więc zdawać by się mogło, że Holender raczej winien traktować Chińczyka jako konkurenta. Może nawet traktuje, ale na co dzień tego nie widać. Jest koegzystencja. Powiedziałbym, jest harmonijna współpraca. Jednak i w Amsterdamie Chińczycy założyli swoje małe „Chinatowns".

I tutaj jest chińskie getto. Leży w najbardziej malowniczej części Amsterdamu. Tuż za dworcem kolejowym. Przy średniowiecznych gotyckich kościołach. Na ulicach zabudowanych wspaniałymi kamienicami.

Każdy z tych wysokich strzelistych budynków każdy z naszych konserwatorów uznałby za historyczny zabytek i wybitne dzieło architektonicznej sztuki. Tutaj wśród tych szykownych renesansowych kamienic żyją Chińczycy. Żyją po swojemu. Przede wszystkim handlują. Ale trudnią się też złotnictwem. Prowadzą rzemieślnicze warsztaty. Trudnią się przemytem heroiny. Są właścicielami porno-kin, nocnych spelunek, barów i wielkich też restauracji. Są tu u siebie. Między swymi. Rzadko się do innych dzielnic Amsterdamu wychylają.

Oczy skierowane na Chiny

Wszyscy oni, „zagraniczni" Chińczycy, choć mieszkają na obcych lądach, to jednak wzrok mają skierowany na państwo środka, na Chiny właśnie, na kraj, który stworzył jedną z największych i najstarszych cywilizacji na tym globie. Chińczyk jest dumny ze swego chińskiego pochodzenia i pod maską uśmiechu kryje czasem sporą dozę pogardy do wszystkiego co chińskie nie jest. Jeden z korespondentów „Time" we wspomnianym już „Special Raport" o chińskich wychodźcach, zrelacjonował rozmowę z Virginią Kee, chińską nauczycielką z Nowego Jorku. Pod koniec rozmowy pani Kee stwierdziła:

— Kiedy wchodzę do lokalu pełnego białych, wówczas czuję się doprawdy wspaniale.

Korespondent dodał od siebie:

— Pani Kee chciała chyba powiedzieć, że czuje się wtedy niezwykle dumna...

Może ta zjadliwa uwaga jest niezupełnie na miejscu, ale coś w niej jest. Spory ładunek prawdy. Bo Chińczycy są dziś wszędzie. I wszędzie czują się przede wszystkim Chińczykami.

KULTURA NA ŚWIECIE

MÓWIĄ TWÓRCY RADZIECKIEJ KULTURY

Redakcja „Sowietskiej Kultury" zwróciła się do szeregu wybitnych przedstawicieli świata literatury i sztuki z prośbą o wypowiedź na temat najważniejszych wydarzeń w ich życiu w roku minionym, jak też planów na rok bieżący. Oto trzy z tych wypowiedzi:

SIERGIEJ GIERASIMOW: — Przy współpracy mego ucznia, reżysera Jurija Kawtaradze ukończyłem pracę nad scenariuszem filmu „Młodość Piotra I" według powieści A. Tołstoja. W prowadzonej przeze mnie w szkole filmowej pracowni reżyserskiej studenci niejednokrotnie sięgali po ten temat i w ciągu kilku lat ja sam „przymierzałem się" do niego z myślą o pełnometrażowym filmie fabularnym. Na ten znamienny w historii Rosji okres — młodości Piotra I — chciałem spojrzeć po nowemu, tak aby go w pełni zrozumiał współczesny widz. Film, który powstanie w koprodukcji z NRD, otrzyma oprawę muzyczną Giergija Swiridowa. Stoimy teraz przed niełatwym zadaniem wyboru obsady aktorskiej, a zwłaszcza odtwórcy roli tytułowej. Ubiegły rok minął dla mnie pod znakiem wielu podróży po kraju i za granicą. Najbardziej upamiętnił mi się wyjazd do Polski, gdzie brałem udział w konferencji dla uczczenia 30-lecia Wrocławskiego Kongresu Intelektualistów na rzecz pokoju. Swój udział w tej konferencji uważam za bardzo ważne wydarzenie w moim roku 1978.

KARA KARAJEW: — Największym radosnym przeżyciem minionego roku było dla mnie przyznanie tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej. To najwyższy dowód uznania państwa dla mojej pracy kompozytorskiej. Rok 1978 przebiegał dla mnie pod znakiem ścisłej współpracy z zespołem Moskiewskiego Teatru Operetki. Wspólnymi siłami przygotowaliśmy spektakl „Szalony Gaskończyk" według znanej sztuki Rostanda „Cyrano de Bergerac". Pisząc muzykę do tego przedstawienia miałem ułatwione zadanie dzięki doskonałemu librettu Piotra Gradowa. Czy napisaliśmy operetkę czy musical, czy też komedię muzyczną? Pozostawmy te rozważania krytykom. Co do mnie, uważam, że moja muzyka do tego spektaklu nie podlega żadnemu z tych zaszufladkowań. W najbliższych planach przewiduję napisanie baletu, trzeciego już z kolei po „Siedmiu ślicznotkach" i „Śladami gromu".

ROBERT ROŻDIESTWIENSKI: — W ubiegłym roku zakończyłem pisanie poematu „Dwieście dziesięć kroków", nad którym pracowałem około dwóch lat. Poświęciłem go Moskwie i dziejom naszej radzieckiej ojczyzny oraz jej dniu dzisiejszemu. Przy współpracy tak wybitnych kompozytorów, jak Tuchmanow, Felcman, Babadżanian i Żurbin, napisałem szereg tekstów do pieśni i piosenek. Jedna z nich „Przyciąganie ziemskie" stanowi ilustrację muzyczną do filmu o kosmonautach W. Sewastianowie i P. Klimuku. Moje plany na rok bieżący? Nic szczególnego — po prostu będę pisać wiersze.

POLONICA KULTURALNE

W stolicy Meksyku, w Narodowej Szkole Sztuk Pięknych, trwały dwie polskie wystawy — prac studentów wydziału grafiki ASP w Krakowie oraz prac prof. Andrzeja Pietscha, dziekana tego wydziału. Wystawa została zorganizowana w ramach bezpośredniej współpracy obu uczelni.

W dziedzinie muzyki wydarzeniem stały się koncerty pianisty Zygmunta Krauzego. Niedawno powrócił z występów w Meksyku dyrygent Andrzej Markowski. W meksykańskich orkiestrach symfonicznych pracuje kilkudziesięciu polskich muzyków, którzy obok pracy w charakterze instrumentalistów, rozwijają także działalność pedagogiczną.

Zorganizowano w Meksyku przegląd filmów Krzysztofa Zanussiego, połączony z cyklem spotkań z polskim reżyserem. W programie przeglądu znalazły się m.in. „Barwy ochronne", „Bilans kwartalny" i „Spirala" W lutym przewidziana jest podobna prezentacja filmów Jerzego Kawalerowicza.

Wydarzeniem artystycznym tego sezonu była meksykańska premiera sztuki Witolda Gombrowicza „Operetka" w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego i z udziałem aktorów „Compania Nacional de Teatro". Publiczność meksykańska oklaskiwała występy Teatru „Stu" Krzysztofa Jasińskiego, Pantomimy Wrocławskiej, Teatru Lalki i Aktora „Marcinek" z Poznania i Teatru Studio Józefa Szajny.

* * *

Polski rzeźbiarz, Marian Konieczny, otrzymał w Leningradzie dyplom honorowego członka Akademii Sztuk Pięknych ZSRR.

* * *

W rzymskiej siedzibie Towarzystwa Włoskiego do spraw Kontaktów Kulturalnych z Polską otwarto wystawę plakatu polskiego.

WIETNAM

CHRONIMY TO COŚMY ZBUDOWALI

W trudzie nad odbudową ojczyzny, naród wietnamski okazuje takie samo męstwo i hart, jak w latach wojny ze Stanami Zjednoczonymi i sajgońskim reżimem. Socjalistyczna Republika Wietnamu jest obecnie na drodze głębokich reform. Komunistyczna Partia Wietnamu i rząd SRW koncentrują obecnie uwagę na dokonywanym procesie gruntownej reformy stosunków ekonomicznych i społecznych w południowych prowincjach kraju oraz na odbudowie gospodarki zniszczonej podczas wojny. Na ten temat wypowiada się dyrektor Wietnamskiego Wydawnictwa w Językach Obcych i naczelny redaktor dziennika „Etude Vietnamienne", Nguyen Hak Vien, w wywiadzie udzielonym włoskiej dziennikarce, E. Colotti-Pichele z redakcji „La Rinascita".

Pytanie: Chciałabym zadać panu kilka pytań w związku z kampanią, która rozkreca sie teraz na Zachodzie na fali „praw człowieka" w Wietnamie. We francuskich gazetach pisano, że w Wietnamie jest 800 tys. więźniów politycznych. Czy to prawda?

Odpowiedź: Amerykanie stworzyli w Południowym Wietnamie armie liczaca ponad milion żołnierzy i policie, w której służyło 150 tys. ludzi. Od razu po wyzwoleniu Południowego Wietnamu wszyscy żołnierze i policjanci zostali zwolnieni do domów, chociaż byli wśród nich ludzie, którzy zabijali torturowali i palili wsie. Postanowiliśmy tak dlatego, ponieważ nie uważaliśmy tych ludzi za bezpośrednio odpowiedzialnych za wszystkie te zbrodnie. Jeśli zaś chodzi o kilkadziesiat tysiecy oficerów, którzy wydawali rozkazy wykonywania tych masowych zbrodni, to ich nie mogliśmy uwolnić od razu, przede wszystkim dlatego, że byli szkoleni przez służby specjalne i w pełni przygotowani do organizowania kontrrewolucyjnych ośrodków, prowokowania wojny domowej, tworzenia nowej armii z żołnierzy i policiantów-zdrajców. Były prezydent USA, Gerald Ford, oświadczył, że w Wietnamie (po zjednoczeniu — red.) bez watpienia wybuchnie krwawa wojna domowa.

Wiemy, iż wśród oficerów armii sajgońskiej byli i tacy, których nie werbowano przymusowo, w odróżnieniu od żołnierzy, lecz znaleźli się oni w wojsku wskutek określonych okoliczności. Południowowietnamski reżim istniał dzięki szczodrej amerykańskiej pomocy wojskowej i ekonomicznej. Wielu z nich zgodziło się zostać oficerami, żeby lepiej żyć, ale w głębi duszy nie zgadzali się z reżimem. Takich odesłaliśmy do obozów, żeby wyjaśnić ich przeszłość, żeby się przyjrzeć ich zachowaniu. Jeśli się okazało, że można tych ludzi przywrócić normalnemu życiu zwalniano ich z obozu. Obecnie pozostaje tam jeszcze kilka tysięcy ludzi, zawziętych kontrrewolucjonistów, zdeklarowanych przestępców.

P.: Czy sądzi pan, że można ich jeszcze odzyskać?

O.: Z jednej strony jest to zagadnienie ideologiczne, a z drugiej — kwestia sytuacji ogólnej. W kraju wciąż jeszcze istnieją ugrupowania kontrrewolucyjne, tworzone przez amerykańskie służby specjalne przez 20 lat. Dotąd otrzymują one pomoc z zewnątrz. Organizują spiski, morderstwa komunistów, funkcjonariuszy partyjnych, spekulują towarami, wysadzają w powietrze fabryki i mosty. Dopóki istnieje taka sytuacja, dopóty nie możemy zwolnić wszystkich. Uważamy jednak że w miarę jak napięcie będzie się zmniejszać, będą stopniowo zwalniani.

Nie było jednak i nie ma żadnych egzekucji.

Należy przypomnieć, iż w konsekwencji amerykańskich bombardowań 10 milionów chłopów musiało porzucić swoje wsie, wyzbyć się wszelkich środków do życia. W 1975 roku liczba mieszkańców Sajgonu osiągnęła 3 i pół miliona osób. Ludzie ci żyli dzięki amerykańskiej pomocy, sięgającej 3 miliardów dolarów rocznie. Po 1975 roku amerykańska pomoc została wstrzymana. Pasożytnicza ekonomika przestała dostarczać środków egzystencji i trzeba było tym ludziom znaleźć pracę.

P.: Czy istnieje w Wietnamie, a w szczególności w byłym Sajgonie (obecna nazwa: Ho Szi Min) przestępczość kryminalna? Czy działają organizacje przestępcze, powiedzmy, typu mafii?

O.: Do momentu oswobodzenia Sajgonu było tam mnóstwo organizacji przestępczych, spekulantów, przeróżnych elementów kryminalnych. Po wyzwoleniu miasta wielu policiantów i żołnierzy byłego reżimu straciło zajęcie i stało się bandytami, przestępcami, gangsterami.

Oprócz tego istnieje kontrrewolucyjna siatka, która istniała i przedtem. I na koniec, w kraju jest rozpowszechniony handel podziemny. Nasze zadanie polega na tym, żeby izolować przestępców. Wysyłamy ich do obozów pracy. Znajduje się tam kilka tysięcy takich ludzi. Jest też wielu narkomanów, mniej więcej sto tysięcy. Są to zdezorientowani młodzi ludzie. W większości z tzw. dobrych rodzin, są zrozpaczeni, ponieważ musieli służyć w armii Thieu. Niektórych wysyłaliśmy do obozów pracy, żeby ich wychować od nowa, gdzie przede wszystkim leczy się ich z narkomanii.

Teraz chłopi mogą wracać do swoich wsi. Można tam uprawiać różne kultury rolne. Nie ma przeludnienia, istnieje jednak szereg problemów. Jeżeli wsie znajdowały się w rejonach działań wojennych, to trzeba wykonać duże prace wstępne: rozminować pola, zasiać je, zaorać ugory i wiele innych. Setki tysięcy ludzi udało się w takie rejony, żeby budować nowe wsie. Rejony te otrzymały nazwę „nowych stref ekonomicznych". Ludzie żyją tam w trudnych warunkach. Mało domów, brak wody, elektryczności. Takie rejony kraju nietrudno uznać za „obozy".

Tak więc pragnę powiedzieć, że jeśli zsumować ogólną liczbę oficerów, którzy przebywają jeszcze w obozach, narkomanów, którym trzeba pomóc, przygotować do nowego życia, prostytutki, które trzeba przywrócić społeczeństwu oraz chłopów, którzy dobrowolnie wyjechali do nowych stref ekonomicznych, to może wypaść z rachunku, jak utrzymuje prasa zachodnia, że w Wietnamie jest 800 tysięcy „więźniów politycznych". Ale czy można nazywać tych ludzi „więźniami politycznymi"?

P.: Czy istnieje w Wietnamie możliwość swobodnego wyboru miejsca pracy i nieskrępowanego poruszania się po kraju?

O.: Jeśli chodzi o miejsce pracy, to zależy ono od istniejących możliwości oraz od zapotrzebowania i nie można go zmieniać bez zgody administracji. Miejsce zamieszkania — to całkiem inny problem. W każdym razie, w północnych rejonach można się poruszać bez zezwolenia. Odwiedzać krewnych czy też podróżować w innych sprawach. Ale żeby udać się z rejonów południowych do północnych trzeba mieć na to pozwolenie. Zarządzenie to jest konieczne ze względów bezpieczeństwa: na południu jest bardzo wielu ludzi, których swego czasu specjalnie szkolono „w polowaniu na komunistów", podważaniu podstaw społeczeństwa socjalistycznego.

Musimy chronić to, cośmy zbudowali. Ale sprawa nie polega wcale na „zmuszaniu", lecz na możliwościach materialnych. Po wyzwoleniu południa kraju moja żona musiała czekać 40 dni na miejsce w samolocie, żeby móc polecieć do Sajgonu i zobaczyć się z matką po 30-letniej rozłące spowodowanej wojną. Żeby wsiąść do pociągu jadącego na południe, trzeba wystawać w kolejce na dworcu 4 dni i w dodatku pociąg jedzie z szybkością 15 km na godzinę. Uruchomiliśmy kolej. To już ogromny sukces, ale jej możliwości przepustowe są takie, jakie są. To już są trudności obiektywne. Trzeba to wszystko zrozumieć.

P.: Czy odbywały się procesy sądowe nad buddystami?

O.: Były i procesy sądowe, i wyroki. Ale ludzi tych sądzono nie za wierzenia religijne, i nie za ideologie, lecz za przestępstwa polityczne. Pagody są otwarte i wierzący mogą do nich uczęszczać: duchowni wygłaszają kazania. Skazano kilku bonzów. Prowadzili działalność kontrrewolucyjną.

P.: Wiemy, iż wietnamska rewolucja, mimo burzliwych politycznych dyskusji przezwyciężyła wszystkie przeciwności, nie dopuszczając do wewnętrznego rozłamu. Proszę o kilka słów na ten temat.

O.: Komunistyczna Partia Wietnamu od momentu swego powstania napotykała na trudności i napotyka obecnie też na bardzo złożone problemy. Weźmy na przykład problem połączenia walki klasowej z narodową walką o niepodległość. Niektórzy komuniści proponowali jedno rozwiązanie, inni — inne. Chociaż po każdej dyskusji niektórzy komuniści nie mogli dłużej pozostawać na odpowiedzialnych stanowiskach, to jednak kontynuowali działalność polityczną.

Ważne jest to, że zachowaliśmy nasze siły, żeby skoncentrować je na walce o wyzwolenie kraju, na zjednoczeniu, na odbudowie gospodarki. Nie było żadnych „czystek".

Tłum. JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● **Powracając do odbytego 21—23 grudnia ub. r. w Genewie amerykańsko-radzieckiego spotkania, należy pozytywnie ocenić fakt, że ZSRR i USA, wychodząc z oceny obecnych rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, doszli na spotkaniu do zasadniczych uzgodnień niemal we wszystkich podstawowych problemach. Waga wyników tego spotkania polega także na tym, iż wykazano na nim maksymalne wysiłki obu stron w sprawie osiągnięcia nowego porozumienia. W wypadku jeśli zbliżenie USA z Chinami doprowadzi do ochłodzenia w stosunkach między Waszyngtonem i Moskwą, to normalizacja stosunków amerykańsko-chińskich będzie bezsensowna z punktu widzenia rozładowania napięcia międzynarodowego. W związku z tym trzeba z zadowoleniem powitać aktywne dążenie Związku Radzieckiego do zakończenia rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Od października 1977 roku, kiedy to upłynął termin pierwszego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, pokój na całym świecie znalazł się w stanie niestabilnym. Z drugiej strony, tylko w 1978 roku technika wojskowa zrobiła wielki krok do przodu. Obecnie wytworzyła się taka sytuacja, która wymaga by po zakończeniu obecnych rozmów USA—ZSRR od razu przystąpić do rozmów o zawarcie nowego, trzeciego z kolei, porozumienia w sprawie rozbrojenia jądrowego („Asahi"—Tokio).**

● **Wśród setek fabryk, warsztatów i sklepików zagubionych w wąskich uliczkach Stambułu znajduje się także fabryka włókiennicza należąca do niejakiego Maratu Bajraka. Fabryka jak fabryka, na pierwszy rzut oka całkiem zwykła. I mało kto wie, że na jej terenie odbywają się szkolenia przesławnych „szarych wilków" — oddziałów najemnych sabotażystów profaszystowskiego modelu, które nabierają tam wprawy w organizowaniu sabotaży, podpaleń, zamachów z użyciem materiałów wybuchowych. Historia „szarych wilków" sięga czasów hitlerowskich Niemiec. Ich obecny lider, Alparslan Tiurkesz, już w 1944 roku kierował ruchem mającym na celu stworzenie „wielkiej narodowosocjalistycznej Turcji" na obraz i podobieństwo hitlerowskich Niemiec. W 1969 roku Tiurkesz przystąpił do formowania oddziałów „szarych wilków" i tzw. „grup błyskawic", opartych na organizacyjnej strukturze „SS". Skąd lider tureckich neofaszystów czerpie środki na wykonywanie swojej przestępczej działalności? Wygadał się o tym w „szczerej rozmowie" z dziennikarzami jeden z pomocników Tiurkesza: „Pieniądze otrzymujemy od obcych wywiadów". Innym wydajnym źródłem zasilającym kasę „szarych wilków" jest kontrabanda, narkotyków, broni, papierosów itp. I wreszcie finansują ich niektórzy wielcy przemysłowcy tureccy, zaniepokojeni możliwością reform w kraju. Podczas niedawnej wizyty Tiurkesza w RFN prowadził on tajne rozmowy z Franzem Josefem Straussem, który od dawna już nawołuje do stworzenia w Europie „jednolitego frontu prawicy p-ko socjalistom i komunistom". W tej sprawie znalazł on w Tiurkeszu wiernego sojusznika („Warheit" — Berlin Zach.).**

● **Amerykańscy astronomowie wprowadzili na orbitę okołoziemską pierwszy „teleskop" zdolny do penetrowania Wszechświata przy pomocy promieni rentgenowskich. Na poprzednich satelitach tego typu instalowano już wprawdzie nadajniki rentgenowskie, ale „HEAO 2" jest pierwszym satelitą, którego aparatura może odtwarzać obraz na zasadzie działania promieni rentgenowskich. Urządzenie to, jak twierdzą amerykańscy uczeni, oznacza „wyjście rentgenowskiej astronomii z wczesnego etapu ewolucji". Instrument umieszczony na pokładzie satelity jest o wiele bardziej czuły od analogicznych urządzeń wynoszonych w Kosmos uprzednio. Może on koncentrować słabe rentgenowskie sygnały i odróżniać sygnały kosmiczne od zwykłych szumów („Chistian Science Monitor" — Boston).**

(J.)

■ IRAŃSKA ZAGADKA
■ LUDOWA KAMBODŻA

W ostatnich dniach uwaga opinii społecznej koncentrowała się na wydarzeniach, rozgrywających się poza kontynentem europejskim. W orbicie zainteresowania znajdują się przede wszystkim **Iran** i **Kambodża.**

Jak wiadomo — **od miesięcy wydarzenia w Iranie rozwijają się burzliwie,** nie ma końca protestom i demonstracjom, są ofiary śmiertelne.

Na początku stycznia **parlament zatwierdził nowego premiera — 63-letniego cywilnego polityka — Szapura Bachtiara.** Przypomnijmy, że przez poprzedzające ten fakt dwa miesiące pozostawał przy władzy gabinet wojskowy — gen. Azhariego, któremu, jak i wcześniejszym, nie udało się przywrócić w kraju stabilizacji.

Nowy premier uważany jest za socjaldemokratę. Opowiada się on za separacją kościoła od państwa i stopniowym wprowadzeniem pełniejszych reform. Na swej pierwszej konferencji prasowej po objęciu urzędu szefa gabinetu zapowiedział zwolnienie więźniów politycznych, przeciwstawianie się ingerencji zagranicy, zmniejszenie zakupów broni, rozwiązanie tajnej policji i zintegrowanie kraju. Mówił również o tym, że Iran sprzedawać będzie ropę naftową wszystkim, którzy chcą ją kupić, z wyjątkiem Izraela i Republiki Południowej Afryki (od 27 grudnia kraj nie eksportuje ropy w ogóle).

Niektóre agencje zauważają, że Bachtiar „zorientowany jest prozachodnio" i będzie się przeciwstawiał stanowczo irańskiej lewicy. W ub. tygodniu znaleźliśmy już potwierdzenie tego drugiego przypuszczenia: Bachtiar po raz pierwszy zajął stanowisko zdecydowanie antykomunistyczne, oskarżając lewicę irańską o działanie na rzecz rozpadu kraju, aresztowano też na północy kilka osób.

Punktem szczególnego zainteresowania w sytuacji irańskiej jest **osoba szacha.** W chwili, kiedy piszemy te słowa, jest już niemal pewne, że szach wyjedzie na urlop za granicę i powoła radę regencyjną. Czy jednak kiedykolwiek z „tego urlopu" powróci? **Abdykacji domaga się większość przywódców opozycyjnych,** niektórzy z nich wręcz stwierdzili, że „jakikolwiek gabinet, utworzony za aprobatą szacha, uważany będzie za nielegalny".

Ciekawą ewolucję przeszło stanowisko amerykańskie. USA, dotąd „oficjalnie neutralne", teraz zaleciły swemu ambasadorowi, aby doradził szachowi wyjazd. Równocześnie w Stanach Zjednoczonych coraz bardziej **rozwija się polemika pod hasłem: kto odpowiada za utratę Iranu?** Zarzuca się administracji Cartera, że nie przewidziała tak dużego napięcia w kraju, a więc i jego następstw. Krążą pogłoski o możliwości zorganizowania w Iranie puczu wojskowego, w rezultacie którego „amerykańskie interesy byłyby lepiej zabezpieczone". Wszystko to razem sprzyja oczywiście utrzymywaniu się napięcia.

Innym, jak wspomnieliśmy na wstępie, wydarzeniem początku roku była **zwycięska ofensywa sił patriotycznych w Kambodży,** w następstwie której upadł reżim Pol Pota — Ieng Sary'ego. Całe terytorium kraju zostało wyzwolone, **utworzono Radę Rewolucyjną Ludu Kambodży oraz proklamowano Ludową Republikę.**

„Po zwycięstwie odniesionym nad agresorami amerykańskimi — czytamy w manifeście Rady — nasz naród mógł cieszyć się niepodległością i wolnością, lecz klika Pol Pota — Ienga Sary zdradziła interesy narodu i utworzyła dyktatorski reżim, którego okrucieństwa, o jakich nigdy przedtem nie słyszano, przekształciły Kambodżę w piekło na ziemi, stwarzając zagrożenie dla pokoju i stabilizacji w Azji Południowo-Wschodniej..." „Wzburzony strasznymi okrucieństwami... naród utworzył Front Ocalenia Narodowego Kambodży, obalił dotychczasową administrację i odniósł zwycięstwo nad imperializmem, przywracając wolność i niepodległość swemu krajowi".

Manifest proklamując Ludową Republikę Kambodży podkreśla, że **celem Frontu Ocalenia Narodowego jest zbudowanie pokojowego, demokratycznego, neutralnego kraju, dążącego do socjalizmu.** Obecnie najważniejszym zadaniem jest normalizacja życia i przywrócenie struktur gospodarczych w kraju. Stolica Phnom Penh, która od 1975 roku była niemal całkowicie wyludniona, ponieważ władze przesiedliły ludność lub zamknęły w obozach pracy, ma szybko tętnić normalnym rytmem. Wkrótce będą otwarte szkoły, uczelnie, ośrodki życia kulturalnego, świątynie...

Proklamowanie Ludowej Republiki Kambodży **zmienia znacznie sytuację na Półwyspie Indochińskim.** Pisaliśmy na tym miejscu o stanach napięcia i przygranicznych walkach oddziałów reżimu Pol Pota z Wietnamczykami. Wyjaśnialiśmy, że za reżimem z Phnom Penh stali chińscy maoiści, którzy i teraz potwierdzili, że popierają Pol Pota. (Ma on ponoć organizować działania partyzanckie). Obalenie poprzedniej administracji **otwiera możliwość współnoty indochińskiej** — ścisłego współdziałania Wietnamu, Laosu i Kambodży, oczywiście z zachowaniem samodzielności każdego z państw. Jest to więc wydarzenie dużej rangi.

* * *

Czy jest przypadkiem, że nowy rok zwraca naszą uwagę na inne kontynenty? Wydaje się, że nie. Z pewnością o Afryce i Azji przyjdzie nam najczęściej pisać w końcowym okresie lat siedemdziesiątych.

W. SŁAWSKI

ZBIGNIEW S. NOWAK

PUŁAPKA NA LISY

Foto: W. Parys

Historia ta niechaj będzie ostrzeżeniem dla wszystkich amatorów łatwych, szybkich zysków. Szczególnie zaś dla tych, którzy w zagranicznych wojażach przede wszystkim upatrują okazji do zrobienia „wspaniałych interesów", „niebywałych kokosów", zgarnięcia grubego szmalu.

Może się bowiem zdarzyć zupełnie nieoczekiwanie, że jakaś zupełnie fantastyczna z pozoru okazja, okaże się naraz zwyczajną, cuchnącą aferą, a kusząca wizja nagłych dostatków — przykrą nader fatamorganą.

Zamiast wielkiego szmalu — wielka wsypa, zamiast spodziewanych dostatków — ileś tam chudych raczej dni za więzienną bramą, zamiast różowych widoków na przyszłość — zwichnięte na długo życie! Tak jak to się przytrafiło Eugeniuszowi S., młodemu, świetnie zapowiadającemu się adeptowi nauk wyzwolonych, z pewnej warszawskiej uczelni, któremu podobno tylko raz w życiu zdarzyło się postąpić nieuczciwie.

Kandydat do kariery

Eugeniusz S. zawsze i wszędzie cieszył się jak najlepszą opinią, w pełni zasłużenie. W szkole był prymusem. Na studiach uważano go za najlepszego na roku. Kiedy zaś po dyplomie pozostał na uczelni, wszyscy przepowiadali mu wielką karierę naukową, sławę i wszelakie zaszczyty.

Mogło tak być! Eugeniusz S. był pupilkiem swojego profesora, dyrektora instytutu, u którego to sposobił się do doktoratu. Przy tym był zdolny, pracowity, sumienny i na dodatek nie żaden tam antypatyczny mól książkowy, lecz pełen życia i cnót wszelkich młodzian.

Ów rzadki komplet tych niezwykle cennych przymiotów osobowości gwarantował Eugeniuszowi S. taką przychylność losu i ludzi, iż nikt nie wątpił ani przez moment, że młody kandydat nauk jest murowanym też kandydatem do wielkiej kariery życiowej i zrobi ją ani chybi. Faktycznie mogło tak być!

Jego koledzy, którzy po studiach poszli do roboty, dorabiali się pięknie i szybko awansów różnych i grubszej forsy przede wszystkim. A on ciągle, już lat parę, wisiał tylko na skromnym doktoranckim stypendium, czym nikomu specjalnie zaimponować nie mógł. Fakt, że kiedyś tam, w dalekiej przyszłości czekały go zaszczyty i kariera, lecz tymczasem niecierpliwe życie piliło nieznośnie.

Eugeniusz S. próbował dosztukować trochę grosza do doktoranckiej zapomogi, ale nie za bardzo mu to szło. Wiadomo, do biznesu potrzeba cwaniaka, tęgiej głowy, a nie naukowca. Krucho więc było z forsą u in spe doktorka.

Na dodatek jeszcze przytrafił mu się kłopot zgoła niespodziewany. Kiedyś tam Eugeniusz S. wpłacił swoje oszczędności na książeczkę samochodową, przypadkiem zupełnym i bez żadnych wielkich nadziei. Los, jak to zwykle bywa, okazał się złośliwy, choć niby przychylny. Pewnego dnia Eugeniusz S. wygrał dużego „Fiata". To go dobiło!

Duży samochód to zawsze i duże kłopoty, a wydatki jeszcze większe. Przez tę wygraną wprawdzie stopa życiowa podskoczyła doktorantowi co nieco, a także i prestiż towarzyski, ale poza tym to czterokołowate szczęście zrujnowało go finansowo i moralnie. Utrzymanie gabloty kosztuje wszak niemało! „Fiat" szybko pochłonął wszystkie doktoranckie oszczędności, a potem to już młodemu naukowcowi coraz częściej przychodziło żyć na pożyczkach przez ten automobilluksus ponad jego miarę.

Wreszcie Eugeniusz S. miał absolutnie dość takiej sytuacji. Oczywiście, pozbywać się samochodu ani myślał, ale postanowił przestać być doktorantem. Szczęściem jego czujny profesor w porę dowiedział się o niecnych zamiarach młodzika. Stary wyga, nie tylko naukowy, ale i życiowy, szybko znalazł radę na kłopoty swojego pupila. Po prostu załatwił mu parę regularnych wyjazdów zagranicznych, do NRD, w ramach pracy doktorskiej, czyli dla zebrania odpowiednich materiałów do naukowej rozprawy.

Stary profesor ani myślał namawiać Eugeniusza S. do robienia kantów na wyjazdach. Powszechnie jednak wiadomo, że na zagranicznych wyprawach, nawet naukowych, można czasem cokolwiek zakombinować dla tzw. podreperowania kieszeni, jeśli tylko bardzo się chce. Eugeniusz S. rychło też doszedł do takiego wniosku. Od razu zaczął chcieć, owszem, jeszcze bardziej nawet niż bardzo.

Wyjątkowa okazja

27 grudnia 1977 roku Eugeniusz S. pojechał do Berlina, oczywiście swoim samochodem, żeby było bardziej z fasonem. Berlińska naukowa kompania przyjęła młodego doktoranta nadzwyczaj gościnnie; protega starego profesora działała wszędzie. A że był to akurat okres okołoświąteczny, Eugeniusz S. odłożył zbieranie materiałów naukowych na później, a czas spędzał mile na wizytach towarzyskich, zabawach i innych przyjemnych zajęciach. Tym bardziej, że niemieccy koledzy obiecali, iż potrzebne materiały sami mu w odpowiednim czasie dostarczą.

W zabawowym nastroju Eugeniusz S. doczekał balu sylwestrowego. Bal to był wspaniały. Młodemu doktorantowi szczególnie przypadła do gustu drobniutka urocza blondynka, z którą przehulał całą noc. Osóbka owa nie była wprawdzie z uczelnianego grona, a tylko lubiła się kręcić koło naukowego światka ciekawych ludzi, ale Eugeniuszowi S. wcale to nie przeszkadzało.

Młodzi szybko zaprzyjaźnili się serdecznie, a po balu Eeugeniusz S. odprowadził swoją sympatyczną partnerkę do domu. Po drodze rozmawiali o tym i o owym, jak to zwykle między dopiero co zapoznanymi bywa. Eugeniusz S. nawet opowiadał dowcipy, a jego towarzyszka zaśmiewała się do łez, wymachując wesoło wspaniałym boa z puszystych lisich ogonów.

W pewnej chwili Eugeniusz S. zwrócił uwagę na tę niewątpliwą ozdobę kobiecej urody i nawet rzucił jakiś zgrabny komplement. Blondyneczka natychmiast podchwyciła temat. Że lisy mianowicie są akurat przebojem sezonu i że wszystkie berlińskie elegantki gotowe są zapłacić za taki kawałek futra każdą sumę. A dalej na zachodzie ceny są jeszcze wyższe!

Eugeniusza S. bardzo te lisy zainteresowały. Do tego stopnia, że zaczął szczegółowo pytać o ceny, możliwości rynkowe, ewentualnych amatorów lisich puszystości. Blondyneczka chętnie udzielała informacji. Po niejakim czasie oboje doszli do zgodnego wniosku, że na lisich skórkach można by wspólnie zrobić znakomity interes. Wystarczy, by Eugeniusz S. przywiózł jakoś z Polski do Berlina większą partię skórek, a jego wspólniczka wyszukałaby odpowiednich nabywców, za odpowiednią cenę oczywiście i najlepiej w zachodniej twardej walucie.

Kiedy za dni parę Eugeniusz S. żegnał przyjaciółkę, zbierając się do powrotu, wszystkie szczegóły lisiego biznesu były już ostatecznie ustalone.

W potrzasku

Kilka dni po Nowym Roku, zgodnie z umową, Marlena G., bo tak było na imię berlińskiej przyjaciółce, zadzwoniła do Eugeniusza S. A właściwie do jego serdecznego kolegi, którego numer telefonu zostawił blondynce, bo sam telefonu jeszcze się nie dorobił. Kolegę zaś Eugeniusz S. skaptował do spółki, bo tamten akurat dopiero co sprzedał samochód i miał gotówkę na sfinansowanie przedsięwzięcia.

Marlena zawiadomiła Eugeniusza, że ma zaklepanego już pewnego kupca na lisie skórki, gotowego zapłacić po 100 marek zachodnioniemieckich od sztuki. Takie stawki odpowiadały obu stronom. Eugeniusz S. błyskawicznie przekonsultował jeszcze sprawę ze swoim kolegą-wspólnikiem, Januszem W. Wreszcie interes został ubity. Marlena G. poleciła dokonać zakupu jak największej ilości skór i możliwie szybko. Obiecała zatelefonować też za kilka dni, by ustalić termin sfinalizowania całej transakcji.

Eugeniusz S. i jego kolega ostro zabrali się do roboty. W ciągu dwóch dni udało się im zakupić 40 lisich skór, tzw. niebieskich, za łączną sumę ok. 150 tys. zł, które wspólnik Eugeniusza S. miał ze sprzedaży swojego samochodu. Taki więc towar był już załatwiony.

Pozostało tylko jeszcze sprytnie go przemycić. W tym celu Eugeniusz S. wykombinował znakomity schowek w swym „Fiacie". Po wymontowaniu zbiornika paliwa wyciął płat blachy w jego górnej pokrywie. Następnie wewnątrz baku umieścił skóry zapakowane w foliowy worek. Wycięty płat blachy przymocował specjalnym przylepcem, a bak na powrót zamocował na swoim miejscu. Dopływ paliwa zaś doprowadził ukrytym przewodem ze specjalnie przystosowanych do tego celu kanistrów, umieszczonych w bagażniku.

10 stycznia 1978 r. Marlena ponownie zatelefonowała do Warszawy. Tym razem ustalono termin przerzutu towaru, miejsce spotkania w Berlinie i parę innych jeszcze szczegółów całej szmuglerskiej akcji. 14 stycznia, akurat w sobotę, Eugeniusz S. i Janusz W. wyjechali do Berlina. Doktorant sprytnie wykorzystał swoje naukowe „alibi", a jego kolega wycieczkował jakoby w celach czysto turystycznych. Granicę przekroczyli w Gubinie, zupełnie bezkolizyjnie. Celnicy oczywiście ani myśleli kontrolować szczegółowo podróżującego służbowo naukowca, bo przecież nawet oni muszą mieć do kogoś trochę chociaż zaufania.

Tego samego dnia wieczorem obaj wspólnicy spotkali się z Marleną G. w przytulnej kawiarence przy Alexanderplatz. Ta niespodziewanie oświadczyła im, że interesy trochę się popsuły i niestety trzeba będzie lisie skórki sprzedać nieco taniej niż planowano.

Zaskoczony Eugeniusz S. próbował mocno oponować, bo wobec zmiany warunków cała impreza przestała mu się opłacać. Wówczas Marlena G. oświadczyła, że ona może wycofać się z interesów, a kolesie mogą towar opylić sami, jeśli znajdą jakiegoś amatora, albo też zabrać swoje lisy z powrotem, co mogłoby być bardzo ryzykowne.

Wtedy Eugeniusz S. zrozumiał nagle wszystko do końca. Zwyczajnie znalazł się w potrzasku! Zorientował się, że przy próbie handlu na własną rękę, lub też przy podjęciu ewentualnego ryzyka ponownego przewozu towaru przez granicę z pewnością zostanie „zakablowany" przez cwaną Marlenę, gdzie trzeba. Pułapką na lisy okazała się bardzo perfidna! Wrobiony na przemytnika Eugeniusz S. nie miał żadnego wyboru. Musiał przyjąć warunki Marleny G.

Następnego dnia Eugeniusz S. wydobył skóry ze schowka. Wspólnie z kolegą znów pojechali na Alexanderplatz. Marlena czekała zgodnie z umową. Pojechali razem do kupca. Marlena G. sama załatwiała transakcję, rzekomo ze względów bezpieczeństwa. Kolesie czekali w samochodzie. Po pewnym czasie Marlena G. wróciła, już bez towaru, lecz z forsą. Oświadczyła wspólnikom, że sprzedała skórki za 16 tys. marek NRD.

Ponieważ wcześniejsza umowa opiewała na waluty twarde, marki trzeba było wymienić na dolary czy też dewizy zachodnioniemieckie. Ponieważ zaś takie transakcje najłatwiej dokonać w większych hotelach, gdzie pełno gości dewizowych i zawsze paru chętnych do usług waluciarzy, toteż cała trójka pojechała do hotelu „Stadt Berlin". Marlena znów poszła sama załatwiać interesy, koledzy jak uprzednio grzecznie czekali w samochodzie.

Kiedy owo czekanie sięgnęło dwóch godzin, Eugeniusz S. mocno zaniepokojony wysiadł z samochodu i ruszył do hotelu na poszukiwania wspólniczki. Przy drzwiach hotelowych został niespodziewanie zatrzymany przez funkcjonariuszy niemieckiej służby bezpieczeństwa. Zatrzymano również Janusza W. Okazało się przy okazji, że Marlena G. została aresztowana dwie godziny wcześniej, nie mogła więc powrócić do wspólników. Ich zaś zamierzano obserwować czujnie, a zatrzymano dopiero wtedy, gdy okazało się, że to jeszcze dwie tylko ofiary Marleny, a nie żadni tam gangsterzy.

Właśnie — ofiary! Podczas przesłuchania w prokuraturze niefortunni przemytnicy dowiedzieli się, że piękna Marlena oszwabiła nie tylko ich. Wielu już turystom poznanym przy różnych okazjach proponowała fantastyczne interesy, a kiedy naiwni cwaniacy przywozili szmugiel do Berlina, wtedy zawsze okazywało się, że interesy idą kiepsko, ceny spadły itd.

Schwytani w perfidną pułapkę kontrabandziści oddawali jej wówczas towar niemal za bezcen, byle tylko uniknąć niechybnej wpadki. A Marlena później opylała towar po odpowiednio wysokich, paskarskich cenach, oczywiście już na własną rękę, bez wiedzy wykiwanych cwaniaczków.

W ten sposób urocza blondyneczka funkcjonowała na czarnym rynku berlińskim od kilku lat. Dopiero ostatnio niemiecka służba bezpieczeństwa wpadła na trop niesłychanie sprytnej i bezczelnej aferzystki. Eugeniusz S. i Janusz W. zupełnie przypadkiem wzięli niechlubny udział w epilogu całej sprawy, bo oni akurat byli ostatnimi ofiarami.

Żałosny koniec

Tak to się przytrafiło nieszczęśliwie Eugeniuszowi S., młodemu, świetnie zapowiadającemu się adeptowi nauk wyzwolonych, z pewnej warszawskiej uczelni, któremu podobno tylko raz w życiu zdarzyło się postąpić nieuczciwie.

Fantastyczna z pozoru okazja okazała się w efekcie zwyczajną, cuchnącą aferą. Przy tej okazji Eugeniusz S. „zarobił" półtora roku więzienia i niemałą grzywnę. Przepadła włożona w interes forsa, przepadł użyty do przemytu samochód. Przepadły też bezpowrotnie raczej jakiekolwiek nadzieje na przepowiadaną przecież przez wszystkich wielką karierę naukową.

WACŁAW PAWLAK

W „KONCERTÓWCE" RŻNIE MUZYKA...

Początek naszego stulecia zapowiadał się dla Łodzi niezmiernie pomyślnie. Fabryki pracowały pełna parą, ledwie nadążając za popytem na wyroby miejscowego przemysłu. Napawało to łodzian uzasadnionym optymizmem, przejawiającym się między innymi w licznym ich udziale w szaleństwach rozpoczynającego się karnawału.

Potentaci przemysłowi Łodzi zabawiali się w ściśle zamkniętych kółkach. Pomni, że bieda gniecie lud fabryczny, aby nie gorszyć robotników, balowali w swoich luksusowych pałacach przy szczelnie zasłoniętych kotarami oknach. „Z niemałym nakładem starań i pieniędzy urządza się bale karnawałowe u wielkich przemysłowców tutejszych — pisał autor „Łodzi współczesnej" Stefan Górski. — Przepych toalet współzawodniczy wówczas ze zdumiewającą okazałością przyjęć we wspaniale przystrojonych salonach."

Kameralny charakter miały także zabawy karnawałowe organizowane przez Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia" w sali przy ul. Piotrkowskiej nr 108. Gromadziły one inteligencję, kupców i rzemieślników polskich. „Na zabawie sylwestrowej w „Lutni" zebrało się chyba z dwieście osób — pisał sprawozdawca „Rozwoju". — O dziesiątej wieczorem zasiedli oni do wspólnej kolacji; uprzyjemniały ją produkcje artystyczne amatorów. Z uderzeniem godziny dwunastej chór „lutnistów" powitał Nowy Rok kantatą Dworzaczka. Po kolacji rozpoczęły się tańce, które trwały do białego rana. Zabawę cechował prawdziwie rodzinny nastrój." W kręgach łódzkiego mieszczaństwa znacznym powodzeniem cieszyły się maskarady w Sali Koncertowej (obecnie Filharmonia). Bale te były właściwie jedynym miejscem mieszania się i wzajemnego obcowania w zabawie różnych warstw społecznych. Obok zamożnych fabrykantów i kupców napotykało się tu zwyczajnych kantorowiczów i subiektów sklepowych, obok wytwornych pań z towarzystwa — bony i modystki, a nawet pokojówki. Maski równały wszystkie stany.

Felietonista jednej z łódzkich gazet w ten oto sposób opisał swoje wrażenia z maskarady w „koncertówce".

„Gdy stanąłem u progu sali balowej przekonałem się, że i kroku naprzód postąpić niepodobna. Gdy jednak zaczęto sromotnie obrażać odciski moje z przodu, a plecy z tyłu, zrobiłem śmiały krok w prawo i już niosły mnie fale w tym kierunku. Zmienić kierunek było czystym niepodobieństwem, wpatrywałem się więc mimo woli w dwa staniki, jeden zielony, a drugi różowy, postępujące przede mną; byłem bardzo zadowolony, a gdy jakaś maseczka, idąca za mną raczyła uszczypnąć mnie w łokieć, musiałem przyznać, że jest intryga na maskaradzie łódzkiej."

Interesującym uzupełnieniem dziennikarskiej relacji z balu maskowego w „koncertówce" był kronikarski zapis w „Rozwoju" z którego wynikało, że w czasie wspomnianej zabawy jakiś złodziej skradł znanemu przemysłowcowi złotą papierośnicę, wysadzaną kamieniami, wartości 300 rubli. Na tejże maskaradzie zgrabna „maseczka" ściągnęła jednemu z kupców portfel ze sporą zawartością gotówki.

Swoiste obyczaje, panujące na balach w Sali Koncertowej, doskonale ilustruje anegdota, jaka wówczas krążyła wśród łodzian. Po jednym z takich balów pewna dama spostrzegła, że jej pokojówka nie może usiąść. Zdziwiona tym nienormalnym zjawiskiem zapytała co jej dolega. „A to proszę pani wymknęłam się wczoraj na maskaradę zaraz po wyjściu pani. W czasie zabawy panowie tak mnie podszczypywali, że ręce całe mam czarne i obolałe, a inne miejsca także — że siedzieć nie mogę." Dama spojrzała na pokojówkę spod oka, czy przypadkiem nie kłamie. Mówiła jednak szczerze... Z miną skwaszoną powróciła do salonu, chciała usiąść, ale... również nie mogła.

W uciechach karnawału uczestniczyła także młodzież robotnicza. Sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia spędzała ona przeważnie w salach tańca, zwanych z niemiecka „tancbudami". Sale tańca stanowiła zazwyczaj obszerna szopa, w której zbierała się gromadnie młodzież fabryczna. Przy migotliwym blasku świec lub przy lampie naftowej, w pomieszczeniu pełnym kurzu i zaduchu, przygrywali rozochoconym parom skrzypek i harmonista. Dookoła sali siedzieli na zwykłych ławach „kawalerowie z damami", czekając swej kolejki, albo kiedy zrobi się mniej ciasno, by stanąć co prędzej do tańca. Zabawę często przerywano, gdyż dochodziło do bijatyk podchmielonych młodzieńców o względy tancerek.

„Na takiej sali — pisał korespondent warszawskiego „Głosu" — wśród tumanów kurzu, wyziewu piwa i pluc ludzkich, kłótni „buchalterów" i „weberów", pisku dam, wykrzykuje głosem ochrypłym cynicznie uśmiechnięty wodzirej: „Złodziejie na prawo, damy na lewo, buchaltry do domu", a sam sunie w podskokach kankanowych do bufetu. Bawiono by się w ten sposób do samego rana, gdyby nie niczym nieubłagane gaszenie światła."

Jeden z miejscowych satyryków uczcił łódzką zabawę karnawałową ucieszonym poematkiem. Warto przytoczyć kilka strof tego utworu.

W „koncertówce" gwar nielada.
Z łbów rozgrzanych para bucha,
Par tanecznych mknie gromada
I muzyka rżnie od ucha.
— Chodź do polki! — Kiej nie umiem!
— Nic nie szkodzi! — Dryg pogubię,
Wiedz pan, żem początkująca.
— A ja właśnie takie lubię...

Milkną dźwięki galopady,
Tanów pryska już ogniwo
I tanecznych par gromady
Do bufetu mkną na piwo.
— Co panienka wsuwa tyle?
Żołądeczek się obarczy.
— Było, golcze, w domu siedzieć
Kiej kopiejków nie wystarczy!...

Z końcem karnawału, czyli w tzw. ostatki, zabawy przenosiły się na ulice Łodzi. Tego dnia z zapadnięciem wieczoru rozpoczynało się prawdziwe szaleństwo. Piotrkowska, jak długa i szeroka, zapełniała się rozbawioną gawiedzią, która ściągała tu ze wszystkich zakątków miasta. W ciżbie ludzkiej krążyły cudacznie poprzebierane postacie: cyganki, rycerze szlachcice. Nie brakowało kominiarzy i piekarczyków, diabłów i aniołów. Dystyngowana dama, której wąsik spływał się pod nosem, wdzięcznym ruchem unosiła rąbek sukni, ukazując muskularną i mocno owłosioną łydkę. Nie gorszyło to bynajmniej dostojnie kroczącego biskupa, który pastorałem torował sobie drogę wśród zbitego tłumu. Ostatkowe figle i zabawy przeciągały się do późnej nocy.

Na co dzień głód rozrywki karnawałowej zaspokajały popisy podwórkowych akrobatów i sztukmistrzów, muzykantów i śpiewaków. Wtórowali im katarynniarze, którzy na swych instrumentach wygrywali walce z „Barona cygańskiego" i melodyjki z nieśmiertelnej „Podróży po Warszawie". Z okien sypały się groszaki, jako dowód uznania dla rozrywkowej działalności wędrownych „artystów".

TADEUSZ WIEŻAN

GOŁĘBIARZE

NOWELA FILMOWA

Wnętrze pełne tobołów. Ludzie powciskani, aż pod sam sufit. Okna zatkane poduszkami. Czerwiński coś szepnął gospodyni do ucha.

— O Boże! — kobieta zatkała sobie usta. — Niepotrzebnie mi pan mówił, bo teraz ja muszę iść.

— Kiedy ja też właściwie nie byłem — tłumaczył się Czerwiński.

— A mężowi pan mówił?

— Nie było sposobności.

Wyszli przed schron. Horyzont zapowiadał bliskie rozstrzygnięcie. Czerwiński pochylił się do ucha gospodarza.

— Dowódca zwiadu Czerwonej Armii prosi, żeby pan uwiązał psa.

— Ale walą, do wieczora będzie po wszystkim.

— Julek! Słuchaj, co pan Czerwiński mówi — nalegała żona. — Niech się pan uspokoi.

Rzeczywiście, Czerwiński drżał jak liść.

— Panie Julku, Rosjanie już przyszli. Przed chwilą z nimi rozmawiałem.

Gospodarz spojrzał to na Czerwińskiego, to na żonę.

— Tak, tak — potwierdziła kobieta.

— A gdzie są?

— Za stodołą.

— Ja muszę tam iść — nalegała niewiasta.

— O, Boże, oni mnie nie poznają, wezmą za Niemca.

— Oni panią znają — uspokoił Czerwiński. — Mówili, że w tej niebieskiej chusteczce, którą pani miała wczoraj to lepiej.

— To znaczy, że siedzą już tam od wczoraj — zauważył gospodarz.

— W jakiej niebieskiej? — żona chciała coś więcej usłyszeć na swój temat.

— Tylko nic nikomu w piwnicy nie mówcie, bo zrobi się panika — zarządził gospodarz.

Jeden z Niemców podniósł się i ruszył za stodołę. Jego kompanów bardzo to rozśmieszyło.

— No, teraz się zacznie — zauważyła kobieta.

— Wejdźcie do piwnicy, ja uwiążę psa — gospodarz nie zdążył przywiązać Burka, kiedy przez podwórze wracał Niemiec. Bez słowa szedł blady w kierunku schronu.

— Schlüssel! — wrzasnął w kierunku gospodyni.

— Cywile, przerażeni, wymienili spojrzenia.

— Klucz! — przetłumaczył ten, który znał trochę niemiecki.

— Tam dźwiery zakryte.

Teraz dopiero Czerwiński i gospodarze przestraszyli się na dobre. Pierwsza opanowała się kobieta.

— Nie, tam nie zakryte, trzeba mocno — to mówiąc pokazała, że trzeba szarpać.

Niemiec skinął głową i odszedł. Niewiasta zaczęła półgłosem odmawiać modlitwę.

— Teraz to z nami koniec.

Gospodarz nie mógł już tego słuchać i kazał babie iść do piwnicy.

Pociski zaczęły padać coraz bliżej.

— Iwan kaput — usłyszeli w odpowiedzi.

Gospodarz skwitował to kiwnięciem głowy.

— Panie, oni nie są chyba przy pełnym rozumie — zauważył ojciec Staszka.

— Juleczku, schowaj się do piwnicy — wołała żona. — Juleczku, jak mnie kochasz, przyjdź tutaj.

Ostrzał artyleryjski wzmógł się.

— Iwan kaput!

— Juleczku, jak mnie kochasz, wracaj!

— Jakiej cholery oni tam siedzą? — Czerwiński pokazał głową, że ma na myśli ruskich.

— Pilnują koni, żeby Niemcy nic im nie zrobili. Bo u nas jest wykończenie „kotła".

— Tak się narażać dla czterdziestu ogierów? Przecież oni koni mają do cholery.

Czerwiński z niedowierzaniem pokręcił głową. W czasie ich rozmowy Niemcy podeszli do stodoły, zamykali wrota. Szukali desek czy kołków, żeby je podeprzeć.

— Spiczki u was jeść? — Za węgłem wejścia do piwnicy stał czerwonoarmista i widać było, że chciałby przypalić skręta. Czerwiński wyjmował zapałki, ale ręce mu drżały jak w febrze.

— Niebezpakojtieś. Nie wałnujtieś — uspokajał go żołnierz i w momencie, kiedy Niemcy byli zajęci podpieraniem wrót stodoły, czerwonoarmista błyskawicznie wskoczył do piwnicy.

— W otym płatku wam łutsze — zwrócił się do gospodyni, która w międzyczasie zdążyła już zmienić chustkę na tę, którą miała wczoraj.

Nerwowo zapalał papierosa i wciągając dym pomiędzy jednym słowem a drugim, wypowiadał sarkamentalne zdanie w takich okolicznościach:

— Wy... swa...bodny...

Do uciekinierów nie dotarła cała treść tego zdania, a gospodarz, który stał tak, że widział co się dzieje na podwórzu i w piwnicy, był wręcz przeciwnego zdania.

— Swabodni, a Niemcy przy stodole.

— My ich siejczas wadoj napoim.

— Co on mówi? — zwróciła się gospodyni do ojca Staszka.

— Oni ich będą poić wodą — machinalnie, dosłownie przetłumaczył ojciec Staszka, ale widząc reakcję ludzi, sam się poprawił.

— To takie powiedzenie, żeby się nie martwić.

— Dobrze mu tak mówić — zauważyła niewiasta. — A czy tamten zza stodoły już wrócił, bo ja muszę iść.

Rosjanin rozmawiał bez tłumaczenia:

— On uże nie pryjdiot. W angieły paszoł.

— Co, co? — pytała niewiasta.

— On mówi, że tamten poszedł do nieba.

— Do nieba to on nie poszedł, ale my zaraz to możemy.

— O Boże, Boże! — lamentowała kobieta.

Kanonada artyleryjska dochodziła do kulminacyjnego punktu. Ludzie w piwnicy zaintonowali pieśń:

— „Kto się w opiekę podda Panu swemu..."

Dzieci płakały, kobiety zawodziły.

— Szto eta za pieśń?

— Eta madlitwa — po chwili namysłu odparł gospodarz.

Czerwonoarmista wolno zdjął furażerkę.

— Cicho tam! — krzyknął gospodarz. — Nie przypominać Niemcom, że tu siedzicie.

Ludzie ucichli.

— Paczemu — zdziwił się Rosjanin.

— Cztoby giermańcy nie pryszli — wytłumaczył gospodarz.

— Nie pryjdut, malitieś — to mówiąc podczołgał się z pepeszką do wejścia do nóg gospodarza. Wyjrzał na podwórko, a następnie zawrócił do ciemnego wnętrza.

— Pojtie, pojtie.

I znów zabrzmiała pieśń.

Niemcy w międzyczasie wolno, dokładnie przywiązywali do kija wiecheć słomy. Gospodarz wbiegł do piwnicy.

— Będą palić stodołę — dłonie wbił we włosy, teraz i jego opuścił spokój.

Nagle czerwonoarmista wygarnął z automatu Pieśń raptownie urwała się. Żołnierz wybiegł na podwórko. Kanonada również ustała. Ludzie siedzieli stłoczeni Dzieci przestały płakać, jakby zrozumiały grozę tej chwili. Z podwórza dobiegł tupot nóg i nagle w wejściu pojawiła się ciemna sylwetka z granatem w dłoni.

— Wychaditie! Giermańców niet.

Po chwili w piwnicy wybuchł krzyk i płacz, nerwy nie wytrzymały tego napięcia. Pierwszy wyszedł gospodarz, śmiał się i wycierał łzy.

— Hazain koniom siena.

— A gdie waszy towarzyszczi? — zapytał ojciec Staszka, sądząc, że powinno ich być tu więcej.

Czerwonoarmista uśmiechnął się:

— Zdies ja sam. Wy byli oczeń zwałnowan.

— Panie, coś podobnego, słyszała pani, słyszeliście — — powtarzał Czerwiński, nie znajdując słuchacza. — Powiedział mi, że jest dowódcą zwiadu, żebym ja wiedział, że on jest sam, żebym ja wiedział, że on jest sam jeden.

— No to co by pan zrobił? — zapytał gospodarz.

— To ja bym chyba umarł ze strachu.

Zaczął siąpić deszcz. Nagle zza stodoły gruchnęła pieśń.

— „Idiot wajna narodnaja..."

„Studer" ciągnął działo. Pieśń wydobywała się spod budy ciężarówki. Przejechali obok gospodarstwa i pozostawili armatę zaraz za ogrodem. Samochód odjechał, a obsługa przykryta „płaszczpalatką" śpiewała dalej.

Tuż przed nimi, w odległości trzydziestu metrów z owsa podniosło się kilku Niemców z karabinami maszynowymi w ręku, odchodzili w kierunku olszyn.

— Niemcy!

— Niemcy! — wyrostek pokazywał czerwonoarmiście odchodzących żołnierzy. Ale Rosjanin ani drgnął.

— Puść idut. My ich gonim at Wołgi.

Ludzie byli zawiedzeni, wszyscy wyszli z piwnicy, ale widocznie trzeba było podziwiać ten widok, skoro Rosjanin sam kontemplował ten obraz z takim namaszczeniem.

— Paczemu nie strelajut? — gospodarz wskazał na artylerzystów, bo wstąpił w niego nowy duch bojowy.

— Piesień chaciat kończyt.

— Smatrytie, eta dla was paśledni Niemcy.

Czerwonoarmista był spokojny i palił papierosa. Deszcz się wzmagał, a wraz z deszczem i pieśń artylerzystów przybierała na sile.

Uciekinierzy bardzo szybko nacieszyli się widokiem odchodzących Niemców i oczy wszystkich zwróciły się na zwiadowcę, którego spokój robił na nich jeszcze większe wrażenie. Staszek zaglądał czerwonoarmiście prosto w oczy. Wszystko było inne: i automat, i wypowiała furażerka, i to, że zwyciężył ten, którego można było zrozumieć, jak mówił. Rosjanin spojrzał na dach stodoły, gdzie siedziało kilka skulonych gołębi.

— Twai? — zwrócił się do chłopca.

— Nie, gospodarza — odparł Staszek.

— Haziaina — przetłumaczył ojciec.

— A kto zdzieś hazain?

Żołnierz spojrzał na gospodarza, na Staszka i na gołębie. — Nu, ładna — powiedział po chwili. — Niebezpakoiteś ani idut priama na naszych — zmienił temat.

Głowy wszystkich zwróciły się znowu w kierunku odchodzących. Nikt nic nie mówił. Nagle z olszyny gruchnęła krótka seria. Hitlerowcy padli jak ścięci kosą. Tragiczne zakończenie spektaklu dobiegło końca.

Czerwonoarmista skończył palić. Rzucił peta i roztarł nogą.

— Dla was kaniec wajny — uśmiechnął się i poprawił pepeszkę. — Nu astawajteś, mnie nużna idi. Artylerzysty pieśniu kańczaju! — spojrzał jeszcze w niebo. — Buria idiot — powiedział i odszedł.

I rzeczywiście rozpadało się na dobre.

Babcia kopała kartofle i znalazła doskonały tłuczek do ziemniaków, a z rękojeści zwisały jeszcze dwa jedwabne sznurki zakończone porcelanową kulką. Lepszych sznurowadeł nie można było wymarzyć.

— Babuszka, daj mnie — powiedział żołnierz.

— Jeszcze czego, ja znalazłam, to moje — powiedziała babcia, niosąc kiwający się tłuczek na jedwabnych sznureczkach.

Żołnierz szedł i prosił.

— A to nachał — powiedziała babcia. — To będzie do kartofli, a to na sznurowadła. — Żołnierz był już przy niej. —

— Niczewo nie budiet, babuszka. Daj mnie, a tak nas nie budiet.

Wreszcie dała się ubłagać.

Detonacja za stodołą bardzo wstrząsnęła babcią.

W mieście pełno szkła. Pusto. Ani cywilów, ani wojska, dopiero na ryneczku przeciwny obraz. Jedna ciężarówka rozkłada słomę, a druga dostarcza rannych. Właściwie już kończą zapełniać plac. Żołnierze przykryci szynelami po pierwszym opatrunku leżą spokojnie, zmęczeni. Obok gołębnika Glinke też leżą ranni czerwonoarmiści. Wiatr po placu roznosi bandaże, wyjątkowo mało sanitariuszy, a ciężarówek z rannymi przybywa.

— Pacan prikuri cygaretku! — żołnierz ma dwa kikuty, nie może sam palić.

— Straszny boj był.

Ale już woła chłopca następny, żeby pomóc mu usiąść. Na wieży kościelnej bije dzwon.

— Szto eta takoje, trwoga? — pytają przechodzących bab.

— W kościele na nabożeństwo dzwonią.

— Bogu podziękować za ocalenie.

— Aha — tłumaczy ranny żołnierz, który uważał, że zna polski. — Za oswabażdienie, za pobiedu.

Żołnierze z uznaniem kiwają głowami i poprawiają szynele.

Proboszcz, stary wojskowy kapelan, wygłosił płomienne kazanie. Mówił, że pierwszym komunistą był Chrystus. Że swoją krwią chciał odkupić rodzaj ludzki. Wierni płakali.

— Naszym obowiązkiem — wołał ksiądz z ambony — jest przyjść im z pomocą, tak jak oni przyszli do nas. Dlatego apeluję do wszystkich mężczyzn i kobiet, aby zaraz po mszy udali się na plac, gdzie leżą ranni i pod kierunkiem wojskowych lekarzy zorganizowali opiekę nad rannymi. Na zakończenie kazania zaintonował: „Boże coś Polskę..."

Ranni żołnierze słuchali tej pieśni, która grzmiała za grubymi murami i gasili papierosy w ziemi, lub po prostu rozcierali je w palcach.

Tłum z kościoła walił prosto na plac, gdzie leżeli żołnierze. W szkole zainstalowano salę operacyjną. Obok ustawiono namiot. Koledzy byli silniejsi, nosili rannych. Całą akcją kierował Czerwiński. Był na gazie, ale działał trzeźwo.

W domu znowu rodzina Czerwińskich zasiadła do stołu.

— Tato, pójdę do wojska — powiedział Józek. — Będę oficerem.

— Jak to ofcierem? — dziwiła się matka.

— Jak to oficerem? — dziwił się ojciec.

— Tak, dwa tygodnie przeszkolenia i mam gwiazdkę — tłumaczył Józek.

— Co to za oficer po dwóch tygodniach? — śmiał się ojciec.

— Szkoły nie masz!

— To nic, mamo, to nic. Takich jak ja biorą bez szkoły, najpierw Niemców trzeba rozbić, a później będzie szkoła.

Staszek patrzył i słuchał, nie marzyło mu się nigdy, że będzie miał brata oficera.

c.d.n.

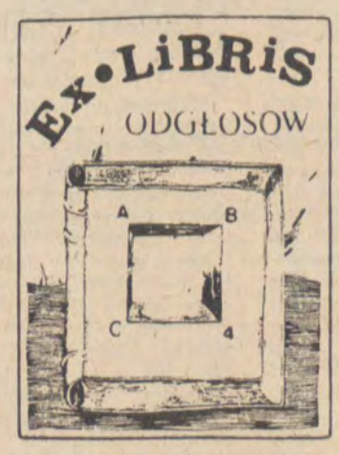

TEN WSPANIAŁY SAINT-SIMON

Josè Cabanis — „Ten wspaniały Saint-Simon", przełożył A. Kijowski. Czytelnik, Warszawa, 1978, str. 222, cena zł 33, —

Josè Cabanis jest znany polskim czytelnikom z dwu powieści. W roku 1963 ukazały się „Karty czasów", w 1968 — „Igranie z nocą. Bitwa o Tuluzę". Cabanis, prawnik z zawodu, filozof, historyk i eseista jest również autorem innego rodzaju utworów. W popularnej serii „Czytelnika" — „NIKE" ukazał się ostatnio jego „Ten wspaniały Saint-Simon". Książka, która łączy w sobie elementy powieści, dokumentu i eseju filozoficzno-historycznego oparta jest o pamiętniki księcia de Saint-Simon, dworaka cieszącego się znacznymi wpływami na dworze Ludwika XIV.

Książka Josè Cabanisa świadcząca o dużej kulturze literackiej i wiedzy historycznej autora, dostarcza czytelnikowi solidnej porcji wiadomości o stosunkach i obyczajach panujących na dworze Króla — Słońce. Wyłania się z niej również niebanalna postać samego Saint-Simona, sprytnego dworaka, intryganta i karierowicza, przy tym jednak doskonałego obserwatora i krytyka swojej epoki.

Proza Cabanisa nie pozbawiona plotkarskiego wdzięku na pewno ucieszy wielu czytelników ciekawych życia w minionych epokach.

TWARZĄ W TWARZ

Ingmar Bergman — „Twarzą w twarz", przełożył Z. Łanowski, Czytelnik, Warszawa 1978, str. 116, cena zł 20, —

„Gdyby ktoś uczciwie zapytał mnie, dlaczego uczciwie mówiąc napisałem ten film, odpowiedziałbym uczciwie, że nie umiem dać jednoznacznej odpowiedzi. Przypuszczam, że dosyć długo żyłem z lękiem, który nie miał żadnej wyraźnej przyczyny. Było to tak, jak kiedy człowieka boli ząb, a sumienny lekarz nie może dopatrzyć się żadnego schorzenia ani w zębie, ani w całym organizmie danego osobnika". — tak pisze Ingmar Bergman w niby-wstępie do swojego scenariusza „Twarzą w twarz", wydanego ostatnio w „Czytelniku".

Bohaterka Bergmana jest zdolną i zdyscyplinowaną lekarką, cieszy się sukcesami w swoim zawodzie, udanie wyszła za mąż i nie ma poważniejszych problemów życiowych. Przynajmniej nie powinna mieć. A jednak Jenny Isaksson popada w ostrą nerwicę, którą od schizofrenii dzieli tylko krok. Próbuje walczyć jednak ze swoim lękiem, wychodzi mu naprzeciw. Czy jednak zdoła go ostatecznie pokonać? Bergman nie odpowiada na to pytanie.

JEDNOROŻEC

Iris Murdoch — „Jednorożec", tłumaczył J. Kydryński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, str. 257, cena zł 40, —

Znakomitą lekturą dla miłośników powieści gotyckiej, ukazującej się dość regularnie dzięki staraniom Wydawnictwa Literackiego, będzie powieść Iris Murdoch „Jednorożec". Dla wielu czytelników informacja ta może być sporym zaskoczeniem, znają bowiem tę współczesną przecież angielską pisarkę z takich choćby powieści, jak „Dzwon" czy „W sieci". Sama jednak pisarka zwierzyła się: „... ja lubię pisać powieści zabawne i przygodowe i chcę, by mnie czytali wszyscy, a nie tylko jajogłowi". I tak oto powstał „Jednorożec", który z dawnego romansu grozy przejął obowiązkowy zestaw rekwizytów. Mamy więc tu sensacyjny wątek, atmosferę i bohaterów pełnych tajemnic, miłość i zbrodnię, surowy krajobraz, który współgra i dziwną niesamowitą akcją. A przy tym wszystkim ta nowa powieść gotycka jest napisana świetnym, współczesnym stylem, co ma również niebagatelne znaczenie.

CEREMONIAŁ

Hector Bianciotti — „Ceremoniał", przełożyła Z. Wasitowa, Czytelnik, Warszawa 1978, str. 279, cena zł 35, —

Hector Bianciotti, pisarz argentyński, od wielu lat mieszka w Paryżu, gdzie jako krytyk literacki współpracuje z kilkoma poważnymi pismami, jest również recenzentem paryskich wydawnictw. Nic też dziwnego, że jego twórczość najlepiej znana jest we Francji, tam jest na ogół wydawana w przekładach samego autora.

Powieść „Ceremoniał", powstała w Paryżu w roku 1971 i uważana jest za najwybitniejsze dzieło pisarza. Bohaterowie „Ceremoniału", ludzie którzy spotykają się latem gdzieś na południu Francji, w starym, położonym w odosobieniu pałacu, poruszają się w dusznej, napiętej atmosferze, przypominającej, jak ktoś porównał, atmosferę filmów Viscontiego. Głównym jednak boraterem powieści jest Czas. Czas wartościujący wszelkie dokonania, nieodwracalny, nie pozwalający zapominać o przeszłości. Czas, w jakim każdy człowiek szuka swojej prawdy, swojej własnej zgody na życie.

zdarzenia i zwierzenia

NIC W PRZYRODZIE NIE GINIE

Nic w przyrodzie nie ginie. Jak Konrad Frejdlich zaatakował w „Odgłosach" Romana Gorzelskiego za jego felietony w „Szpilkach", to zaraz Roman Gorzelski zaatakował... mnie za mój felieton w „Odgłosach". I wszystko się wyrównało, choć nie bardzo.

A nie bardzo dlatego, że nie wiem czy Gorzelski polemizuje akurat ze mną, choć przywołuje cytaty z mojego felietonu. Nawiasem mówiąc, artykuł polemiczny Frejdlicha odbił się echem dość daleko, bo aż w lubelskiej „Kamenie". Pisze tam: **„Szpilki" to nie organ łódzkiego magistratu! A zamieszczane w tym piśmie „Listy do Warszawy" nie mają charakteru panegiryków. I kto wreszcie „Szpilki" traktuje poważnie? (...) Żeby nie było wątpliwości: my w „Kamenie" tak Łódź kochamy i cenimy, że nawet tysiąc Gorzelskich nie zmieni naszej opinii o tym mieście".**

No i bardzo dobrze! Przynajmniej na niwie polemik prasowych.

W produkcji wydawniczej natomiast obserwujemy od jakiegoś czasu dość wyraźny regres. Wyjątkowym już nieporozumieniem jest pozbawienie serii **„Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej"** twardej oprawy, zastąpionej ostatnio kartonową tandetą, nawet nie lakierowaną. Ale — jak się rzekło — nic w przyrodzie nie ginie.

Otóż **Krajowa Agencja Wydawnicza** wypuściła na rynek nową serię wydawniczą, wyjątkowo pięknie oprawioną w twarde, obciągnięte płótnem okładki, plus lakierowane obwoluty. A zatem wszystko się wyrównało, choć nie bardzo.

A nie bardzo dlatego, że osobiście bym wolał, aby wszystkie potrzebne i cenne serie wydawnicze były poligraficznie bez zarzutu. No i żeby były trwałe, bo na jedno czytanie kupuje się tzw. literaturę wagonową, nie zaś klasykę, która ma w naszych domach stanowić kanon biblioteczny na całe lata.

Nic w przyrodzie nie ginie. Zniknęły ze sklepów klocki „Lego" — światowy szlagier zabawkarski, o których psycholodzy i pedagodzy mówią, że jest to najatrakcyjniejsza i najbardziej kształcąca zabawka ostatnich lat. Wszystko się jednak wyrównało (nie bardzo — niestety), bo klocki „Lego" powędrowały do sklepów „Pewexu".

Gorzej nieco jest z prasą codzienną i tygodniową. Jak wynika z danych **Ośrodka Badań Prasoznawczych** obserwuje się w ostatnich latach stały wzrost czytelnictwa gazet i czasopism. Gazety znikają z kiosków we wczesnych godzinach rannych, po „Express" ustawiają się kolejki a tygodników w ogóle nie można kupić normalnie i bez protekcji.

Tak więc nie wiadomo — cieszyć się, czy martwić wzrostem czytelnictwa prasy? Oczywiście kompletny laik mógłby powiedzieć, że skoro zainteresowanie prasą rośnie, to powinny proporcjonalnie wzrosnąć nakłady. Niestety. Papier jest artykułem deficytowym i trzeba nim gospodarować oszczędnie.

Ale — jak się rzekło — nic w przyrodzie nie ginie. Pamiętamy wszyscy jak przed paroma miesiącami gospodarze domów, zwani dawniej dozorcami, rozdali mieszkańcom miliony formularzy oświadczeń meldunkowych, których „wydawcą" były terenowe **Rejony Obsługi Mieszkańców.** Druki te zasiliły dziś składnice makulatury, ponieważ zostały wycofane we wrześniu ubiegłego roku. A całe nieporozumienie z niepotrzebnie zadrukowanymi tonami papieru wzięło się stąd, że meldunki prowadzą jednostki pionu... Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a ROM podlegają Ministerstwu Administracji. Stąd — jak oświadczył dyrektor Biura Spisów GUS w Warszawie — „brak przepływu informacji dotyczącej aktualnego stanu osób zamieszkałych w danym mieszkaniu".

Aby więc ów przepływ zapewnić upłynniono papier, co nie na wiele się zdało, bo druki szybko wycofano. Ale przynajmniej wiemy, co się stało z papierem.

Bowiem nic w przyrodzie nie ginie.

WIDOK

propozycje

PECHOWA FOTOGRAFIA

Tadeusz Sznuk, zapowiadając niedawno w „Sygnałach dnia" telewizyjną rozmowę o „Układzie krążenia", powiedział, że u nas po każdym serialu telewizyjnym musi zaraz wybuchać ogólnonarodowa dyskusja. Istotnie dyskutowano zawzięcie po „Dyrektorach", „Daleko od szosy", po „Polskich drogach". Inne seriale krytykowano, jak choćby słynną już „Doktor Ewę", czy wręcz przemilczano. I jest w tym jakaś prawidłowość. Dyskutuje się na ogół o tym, co wszystkich interesuje, o filmach, w których poruszają się problemy ogólnie interesujące, dotyczące nas wszystkich, współczesności.

Od wielu lat toczy się na falach eteru powieść rzeka: „Matysiakowie", „W Jezioranach". I chociaż czasem drażni nas zbyt natrętny dydaktyzm tych powieści, chociaż czasem zbyt widoczna staje się publicystyka, to przecież jakże wielu z nas od czasu do czasu „zachodzi" na ulicę Dobrą w Warszawie, albo „wybiera się" do podlubelskiej wsi Jeziorany. Ot tak sobie, aby posłuchać, co też tam się dzieje u Matysiaków czy u Jabłońskich. A są tacy, którzy towarzyszą jednej albo drugiej radiowej rodzinie od lat. Czy tylko z przyzwyczajenia?

Myślę, że nie. Wydaje mi się, że zjawisko jest dużo głębsze. Po prostu współczesny widz, czytelnik, radiosłuchacz odczuwa przemożną tęsknotę za tematyką współczesną. Ale tu nie chodzi o tło, o warunki, w jakich dzieje się akcja powieści, sztuki, filmu. Chodzi o współczesność konfliktów, w jakie uwikłani stają się bohaterzy, o współczesność problematyki, z jaką się spotykają. Albo to jest autentyczne, albo wymyślone. W pierwszym przypadku budzi uznanie i wywołuje dyskusje. W drugim — wzruszenie ramion.

Wszystko, co dzieje się współcześnie jest szeroko komentowane. Dyskutuje się w tramwaju, w szkole, w biurze, na przerwie na papierosa, na imieninach u cioci, na imieninach u kolegi. Ale są to nasze prywatne dyskusje. Nie zawsze znajdują one odbicie na telewizyjnym ekranie, na łamach gazety. A współczesny człowiek szuka potwierdzenia, pragnie skonfrontować swoje poglądy z poglądami innych i nie tylko cioci, czy kolegi z biura, ale też ludzi z autorytetem, twórców. Chce to, co przeżywaliśmy zobaczyć w artystycznej formie na ekranie telewizora, przeczytać o tym w reportażu, w książce. Przetworzone, przewartościowane, uogólnione, ale prawdziwe, a nie wydumane.

Coś takiego dali nam właśnie „Dyrektorzy". Artystyczny obraz naszej niedawnej przeszłości można było zobaczyć w „Polskich drogach". Znów współczesność wyziera do nas ze „Śladu na ziemi", ale jeszcze za wcześnie wydawać sądy o tym serialu. Jakaś namiastka prawdy o współczesności dociera do słuchaczy „Matysiaków" czy „W Jezioranach". Współczesność była też w „Układzie krążenia".

Byłoby błędem wymagać od twórców telewizyjnych seriali, aby usiłowali dawać encyklopedię spraw współczesnych. Nie o to chodzi. Można jednak żądać, aby swoich bohaterów wikłali w możliwie prawdziwe konflikty, aby też starali się prowadzić akcję wartko, w tempie przypisanym gatunkowi. Andrzejowi Titkowowi i Aleksandrowi Minkowskiemu zarzucono na przykład, że w sprawach medycznych nie byli zbytnio precyzyjni, chociaż pomagało im w tym aż czterech konsultantów od medycyny. Ale widza mało to interesuje. On się na medycynie nie zna. Bardziej go denerwowały dłużyzny, jakie za sprawą Andrzeja Titkowa rozwlekały akcję filmu. Reżyser próbował tłumaczyć się, że chodziło mu o nastrój, o atmosferę, o klimat. I temu celowi miały służyć owe dłużyzny. Ale w serialu akcja musi się toczyć wartko i wszystko, co reżyser pokazuje na ekranie musi czemuś służyć, to znaczy musi być tej akcji w jakiś sposób podporządkowane. Tymczasem nasi twórcy seriali lubują się w dygresjach. Robią sobie takie etiudki, które niczemu nie służą, chyba tylko zaspokojeniu ich twórczych ambicji.

Dłużyzny denerwują widza, ale gotowy jest darować je reżyserowi, aby tylko ten pokazał mu w zamian kawał życia, aby to, co dzieje się na ekranie było prawdziwe i odpowiadało na wątpliwości widza, aby pobudzało wewnętrzną, osobistą dyskusję widza z twórcą. Czy perypetie doktora Romana Bognara spełniły ten warunek?

W moim przekonaniu nie bardzo. Zbyt wiele było w tym filmie sytuacji i konfliktów fałszywych. Już choćby od samego pomysłu z fotografią, na której przecież — jak to ktoś dowcipnie zauważył — mogło być nie kilku mężczyzn, ale cały batalion. I co wtedy? Dr Bognar błąkałby się nadal po kraju. Niektórym widzom trudno na przykład zrozumieć decyzję krakowskiej lekarki, do której po 10 latach wrócił mąż i ona zrezygnowała z tego, co wydawało się, że ją łączy z Bognarem. Mogło się przecież i tak zdarzyć w życiu, ale w serialu za bardzo wyłażą zza tej sytuacji scenarzysta i reżyser, którym taka sytuacja była potrzebna. W serialu ciągle gdzieś widać, że to wymyślił reżyser, a to był pomysł scenarzysty. Czuje się ich przez cały niemal czas i to niestety dowodzi, że konflikty, jakie nam zaprezentowali były za dobrze wymyślone, stąd są mało autentyczne. Ale to jest moje zdanie. Dyskusja trwa nadal.

MARCIN RODAK

sport

DOBRZY ZNAJOMI

Pomysł jest obłędny. Jedni typują, inni obliczają głosy, a nam zostaje komentowanie. Nikt do tego wprawdzie nikogo nie zmusza, ale w ludzkiej naturze jest komentowanie, doszukiwanie się różnych podtekstów, dorabianie „ideologii" do faktów. Skoro sezon sportowy toczy się jakoś niemrawo, a to śniegu zbyt wiele napada, a to wiatr zerwie się zbyt silny, a to znów przyjdzie niespodziana odwilż i stopi tak potrzebny śnieg, nie pozostaje nic innego kibicom jak tylko komentować niegdysiejsze fakty i zastanawiać się, co z nich dla sportu wynika ogólniejszego.

Takim niegdysiejszym faktem jest rozstrzygnięty plebiscyt „Przeglądu Sportowego" oraz podobny plebiscyt „Dziennika Popularnego". Kiedy pisałam poprzedni felieton, wyniki nie były jeszcze znane. Teraz są już dobrze znane. Bale się odbyły, wzniesiono toasty, złożono sobie życzenia dalszych sukcesów, nawet kac już dawno przeminął, niektórzy o wszystkim zapomnieli, więc można się zastanawiać, czy warto? Warto! A to dlatego, że rezultaty plebiscytu są odbiciem pewnych zjawisk zachodzących w sporcie. Ukazują te zjawiska wyraźniej lub nie, ale ukazują i obowiązkiem pisujących o sporcie jest zwrócić na nie uwagę wszystkim interesującym się tą dziedziną życia.

Co więc wynika z plebiscytu „Przeglądu Sportowego" za 1978 rok?

Po pierwsze — wynika, że w dziesiątce najlepszych nie ma przedstawicieli sportów zespołowych. Z piłkarzy na przykład najlepszy był Zbigniew Boniek, który uplasował się dopiero na 12 pozycji, a w plebiscycie „Dziennika Popularnego" był drugi. Trzynasty w „PS" był Lesław Ćmikiewicz, a Kazimierz Deyna — dwudziesty. A przecież piłka nożna nadal utrzymuje się na pozycji sportu narodowego, najbardziej popularnego, budzącego największe emocje. Ten brak piłkarzy w pierwszej dziesiątce potwierdza tylko fakt, że kibice nie dają się nabrać na „zapewnienia", jakoby nadal byliśmy piłkarską „potęgą na świecie".

Po drugie — w tegorocznym plebiscycie dopiero na 16 miejscu znalazła się Irena Szewińska. Pozostaję pod urokiem fenomenu Pani Ireny, ale tym bardziej mamy chyba prawo nieśmiało zasugerować, że fakt ten coś znaczy i byłoby dobrze, gdyby Pani Irena wyciągnęła z tego właściwe wnioski. Smutne to jest niewątpliwie, ale prawda jest taka, że czas nie stoi w miejscu Ten banał ma niestety moc obowiązującą.

Po trzecie — pocieszyć się można tylko, że pań nam w tegorocznym plebiscycie nie zabrakło W pierwszej dziesiątce były dwie: Grażyna Rabsztyn i Adela Dankowska, ale dwie inne: Krystyna Chojnowska-Liskiewicz i Wanda Rutkiewicz otrzymały honorowe wyróżnienia.

Ale tu można byłoby przypomnieć o łasce kibica, która na pstrym koniu jeździ. Bo na dobrą sprawę zupełnie nie rozumiem, czym dla głosujących lepszy był Sobiesław Zasada, przeciwko któremu nic nie mam, a który dobrze jeździ samochodem od Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz czy Wandy Rutkiewicz. Jedna — jak wiadomo — samotnie opłynęła świat, na co — jak do tej pory — niewielu zdobyło się mężczyzn. Nie jest to w każdym razie zbyt liczna grupa. A druga — weszła na Mount Everest, na którym przed nią odpadło wielu mężczyzn.

Można w ogóle ten plebiscyt uznać za dość symptomatyczny. Zaczyna być jakby premiowane sportowe gwiazdorstwo. Mistrzostwo — w pojęciu dobrze opanowanego rzemiosła, albo jakbyśmy to powiedzieli w innym znaczeniu — sportowego warsztatu. Ani tenis, ani automobilizm, ani bojery, ani tym bardziej szybownictwo nie należą u nas do sportów masowych i nie budzą wielkich emocji. Podziwiamy raczej mistrzostwo naszych najlepszych.

Ale też inny wniosek płynie z tego plebiscytu: nasi mistrzowie są samotni. Sportowiec roku — Józef Łuszczek powiedział, kiedy go zapytano, jakich sportowców uważa za najgroźniejszych przeciwników:

— ..... najgroźniejsi będą reprezentanci ZSRR. Ich ogromna siła przebojowa na wszystkich imprezach świata polega chyba na tym, że startuje jeszcze wielu bardzo dobrych biegaczy. Oni wierzą w siebie nawzajem i wiedzą, że jeśli jednemu się nie uda, to innemu koledze się powiedzie".

U nas niestety za Józefem Łuszczkiem, a i za innymi sportowcami długa jest przerwa i dopiero później idą inni.

Cieszyliśmy się z wybrania najlepszych, ale jak widać poza gratulacjami dla wyróżnionych nie ma znów tak bardzo z czego się cieszyć. Wygrali na ogół dobrzy znajomi, ci, którzy na to zasłużyli, ale za którymi powinni iść inni. Czy idą?

BOGDA MADEJ

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JAN KOPROWSKI

Jest w tym słynnym uśmiechu
Coś o tobie człowieku.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

MYŚLENIE I BIGOS

lewym okiem

Pare razy zdarzyło mi się stać na poczcie w kolejce gwoli nadania poleconego listu. Wypełniłem już karteczkę — bo i poczta tknięta została bakcylem samoobsługi, może i słusznie, po co ma się męczyć urzędniczka, kiedy to nie jej zależy na wysłaniu listu — potem wypełniłem karteczkę drugi raz, bo mój charakter pisma nie odpowiadał poleceniom panienki z okienka o piśmie porządnym, no i stanąłem jako drugi. Cóż to za kolejka powiecie: dwie osoby?

Niestety ta pani przede mną to była pani goniec z jakiegoś urzędu i nadawała cała urzędowa pocztę, coś koło dwustu poleconych przesyłek. Instytucje wszystko wysyłają trybem poleconym, bo muszą mieć dowód nadania. List może sobie nie dojść, za to stempelek zostaje, czyli sprawa jest załatwiona. Pani goniec przychodzi tu codziennie, jest więc stara znajoma panienki z okienka i mają sobie to i owo do powiedzenia. — Dzisiaj jakoś mniej do Warszawy — mówi urzędniczka. — Bo mamy zjazd w Katowicach i wszystko leci na Katowice — mówi ta druga. A kupiła już pani kozaczki? Ładne, tysiąc osiemset. Za drogie? Dlaczego, przecież to nawet nie cała pensja...

Załatwianie idzie szybko, stempel trzaska jak kulomiot nagle okazuje się jakiś błąd — jeszcze raz, potem po malutku trzeci raz. Ten drugi w kolejce — ja — czeka tymczasem i myśli, czy na przykład nie dałoby się w większych urzędach pocztowych wydzielić okienek tylko dla klientów indywidualnych, a w mniejszych, jednookiennych urzędzach w ogóle nie załatwiać biur i instytucji?

Po drodze do pracy chce kupić gazetę. Przed kioskiem kolejka kilkunastu osób, za kwadrans już w całym mieście gazety nie dostanę. Wyciągamy szyję, czy aby wystarczy dla nas. Niestety, nie może wystarczyć, bo każdy bierze po pięć, dziesięć, piętnaście egzemplarzy „Głosu" i drugie tyle „Dziennika". Delegacji! Przychodzi taki i kupuje dla całego swojego wydziału albo dla wszystkich siedmiu dyrektorów. Niby nie wiadomo, co takiemu systemowi zarzucić, niby to nie jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale mały szlaczek codziennie człowieka trafia. Jeszcze trochę, a przyjdzie ktoś przed otwarciem kiosku, weźmie wszystko jak leci i cześć. Rozsprzeda przecież bez trudu, a jeśli nawet nie — to cóż to jest dzisiaj dwadzieścia złotych? Butelka wody mineralnej, co prawda o egzotycznej nazwie?

Wchodzę do lokalu na obiad. Ceremonia zdejmowania płaszcza pokrzykiwanie „drzwi zamykać!" pana szatniarza, który i dziś też jest w złym humorze, potem czekanie na kartę, potem na kelnera. Wreszcie jest i okazuje się, że trzy czwarte kart nieaktualne i został bigos z grochówką plus blekitek a la Pompadour. Nie mogę jeść grochówki i bigosu, blekitka jadłem już przez trzy dni. Zmarnowałem trzy kwadranse plus dwa złote i wychodzę. W następnej restauracji powtórzy się to samo. Idę i myślę: czy nie należałoby nakazać wywieszania przed restauracjami aktualnych jadłospisów wraz z cenami, tak jak to się praktykuje na całym świecie?

Idę i myślę. Ale czy na pewno myślenie ma kolosalną przyszłość? Czy nie trzeba będzie poprzestać na bigosie?

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 61. A-2.